Nr. 11. Poznań, niedziela 15-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Reforma wyborcza w Austryi.*)

Austryacka ustawa wyborcza nie miała nigdy gwałtownych zwolenników. Przyszła na świat bez warunków długiego życia, a jeżeli do tej chwili utrzymała się, to jedynie dzięki temu, że chcący ją naprawić, obawiali się, czy ta naprawa zamiast polepszyć, nie pogorszy stanu choroby. Rozszerzone przed laty kilkunastu prawo głosowania, oparte na tem, że korzysta z niego każdy, kto płaci 5 złr. rocznie stałego rządowego podatku, nie zmieniło w niczem postaci rzeczy, pozostawiło to samo niezadowolenie u jednych, tę samą obawę przed reformą u drugich. I dziwić się temu nie można, każda bowiem warstwa ludności ma na celu swój interes własny, a interesa te w zgodzie ze sobą być nie mogą. Co więcej, w Austryi do interesów kastowych przyłączają się interesy narodowościowe, z czego powstaje taki chaos rozmaitych sprzeczności, że nigdy i żadna ustawa wyborcza w Austryi przez ogół za dobrą i odpowiednią uznaną nie będzie, bo każda wzmocni jednych, a osłabi drugich, bo każda wymierzając sprawiedliwość jednym wyrządza niesprawiedliwość drugim.

Dla doktrynerów, mających zawsze w zanadrzu gotowe teorye i formułki, sprawa wydaje się bardzo łatwą i prostą, ale w życiu praktycznem (a chyba nic więcej jak polityka nie opiera się na praktyczności) każda teorya ma swoją piętę Achilesową. Doktrynerzy mówią: zasadą państwa konstytucyjnego jest równość praw wszystkich obywateli, a więc każdy obywatel dorosły powinien mieć prawo czynnego i biernego wyboru. Praktyka zaś twierdzi: pomimo wszelkich teoryi i ustaw nie ma na świecie dwóch ludzi równych sobie; w każdej rodzinie, w każdym zawodzie istnieje pewna hierarchia i pewien podział pracy i obowiązków. Do każdego przedsięwzięcia, do każdej sprawy (mówi dalej praktyka) powołuje się najwięcej uzdolnionych, albo za takich uchodzących. Nie bierze się krawca do budowy domu, ani murarza do skrajania sukni. W każdém rzemiośle mamy majstrów, czeladników i terminatorów. Chcesz być adwokatem, sędzią, urzędnikiem, każą ci się długo uczyć i składać egzamina. Musisz być naprzód żołnierzem, chcąc zostać jenerałem; musisz się nauczyć szyć buty zanim zostaniesz szewcem. Niema wogóle na świecie, a przynajmniej być nie powinno, tak podrzędnego stanowiska, które możnaby osięgnąć bez posiadania odpowiednich warunków. Skądże więc sterowanie nawą państwową, rzecz najtrudniejsza, najwięcej odpowiedzialna, wymagająca głów najtęższych, umysłów najszerszych i najwięcej uzdolnionych, może być oddana na łaskę i niełaskę ludzi nie mających ku temu żadnych kwalifikacyi? Jak można, mówi ta praktyka, dawać *jedno i to samo* prawo udziału w rządzeniu państwem tak człowiekowi najwyższej inteligencyi, jak człowiekowi nie posiadającemu najprymitywniejszego wykształcenia, nie mającemu nietylko najmniejszego wyobrażenia o sprawach państwowych, społecznych i krajowych, ale nawet o tem, co się dzieje w jego własnej gminie?

Dla tego też pomiędzy najwybitniejszymi zwolennikami głosowania powszechnego, jeżeli nie są oni doktrynerami, lecz ludźmi wyższego, szerszego umysłu, nie znajdziemy z pewnością nikogo, ktoby nie zdawał sobie sprawy, iż ta równość musi mieć pewne zastrzeżenia, pewne wyjątki, pewne nierówności. Stuart Mill, znakomity filozof i ekonomista, jest jednym z tych, na których, jako na autorytet, chętnie się powołują zwolennicy powszechnego głosowania. Mill szedł nawet tak daleko, że kobietom przyznawał równe prawa wyborcze, a więc prześcigał w żądaniach wszystkich socyalistów austryackich. A jednak ten czystej wody obrońca praw ludowych, rozumiał dobrze, że władzy nad całem społeczeństwem, nie należy oddawać ludziom nie przedstawiającym najprostszych danych nawet do kierowania interesami najbliższego swego otoczenia. „Przy głosowaniu powszechnem — są słowa Milla — znaczna większość głosujących składałaby się z robotników, oddających się pracy ręcznej, a więc istniałoby w wysokim stopniu niebezpieczeństwo podporządkowania ludzi wykształconych prawodawstwu klas niewykształconych“. Żądał więc Mill najprzód, aby wymagano od wyborcy znajomości czytania, pisania i reguły trzech. Dalej sądził, że na każdego pełnoletniego, pragnącego być wyborcą, winien być nałożony dodatkowy, choćby najdrobniejszy podatek niestały (*assessed taxes*). Nie na tem zresztą koniec wymagań Milla. Każdy wyborca powinien oddawać się stałemu zatrudnieniu przynajmniej przez trzy lata. Ponieważ zaś nieużyteczną, ale szkodliwą jest rzeczą, gdy konstytucya krajowa głosi, że ciemnota i nauka jednakowo są uprawnione do rządzenia krajem, przeto uważa Mill, aby ludzie posiadający wyższe wykształcenie, posiadali też przy wyborach większe prawa, a więc mieli większą ilość głosów, to znaczy, że kiedy zwykły, dajmy na to, robotnik, miałby głos jeden, to człowiek, który ukończył niższe gimnazyum miałby ich dwa, maturzysta głosów trzy, ukończony uczeń uniwersytetu głosów cztery. Dla tych, co doszedłszy samouctwem do wyższego stopnia wykształcenia nie mają odpowiednich świadectw i patentów, radził Mill ustanowić egzaminy, do których każdemu wolnoby się zgłosić, aby dowiódł, że posiada dostateczny stopień wiedzy i zdolności, dający mu prawo do wielości głosów.

Streszczając w krótkości wywody Milla, nie mogę przytaczać licznych rozumnych jego motywów, a zarazem wszystkich szczegółów jego projektu wyborczego. Zaznaczam jednak jeszcze stwierdzenie przez Milla faktu, że dążność dzisiejszych rządów reprezentacyjnych skłania się ku zbiorowej mierności. Celująca inteligencya i charaktery pozostają prawie zawsze w mniejszości, bo fałszywa demokracya zapewnia przewagę samej tylko większości. Dziś, choćby się narodził jaki Temistokles lub Demostenes, prawdopodobnie przez całe życie nie otrzymałby krzesła w parlamencie. Rzecz to na pozór dziwna, ale w praktyce niejednokrotnie stwierdzona, że ludzie imponujący zdolnościami i rozumem, mają w gronie swych sąsiadów najwięcej przeciwników. Ogół najbliższy nie znosi samoistnego, niepodległego zdania i chętniej przekłada miernotę, która nie razi wyższością umysłową i da się powodować stronnictwem. Człowiek zdolny, już przez to samo, że jest zdolny, nie idzie baranim śladem, a łatwiej dając się poznać, łatwiej zdobywa sobie zawistnych, łatwiej naraża się na zarzuty, a nawet paszkwile. Z drugiej strony widoczną jest dążność większej części okręgów wyborczych do obierania „swego“, to jest człowieka mie-

*) Zamieszczając powyższy artykuł, skreślony piórem jednego z najwytrawniejszych publicystów polskich, poczuwamy się do obowiązku nadmienić, że redakcya w niektórych szczegółach nie identyfikuje się bezwzględnie z autorem. Przyp. Red.

szkającego na miejscu, spokrewnionego krwią, połączonego stosunkami i interesami z miejscową ludnością. Często więc mając do wyboru w kraju dość ludzi wybitnych, okręg nie proponuje im mandatu, ale „wybiera z pomiędzy dwóch albo trzech zgniłych pomarańcz, które stanowią cały zasób towaru na miejscowym targu". Rezultatem tego bywa, że człowiek, poważany przez inteligencyę całego kraju, nie mając w miejscu swego zamieszkania, dostatecznego poparcia, nie może zdobyć mandatu, a miejsce mu należne zasiada... zgniła pomarańcza. Dla zapobieżenia temu radzi Mill, aby każdy z wyborców, któremu miejscowi kandydaci nie przypadają do smaku, mógł oddawać swe głosy kandydatom innych okręgów, które to głosy byłyby im doliczone jako prawomocne.

Nie wchodząc bynajmniej w to, czy wszystkie propozycye Milla są praktyczne, czy wszystkie dałyby się przeprowadzić, co należałoby z jego projektu odrzucić, co przyjąć, co rozszerzyć, co zmodyfikować, szło mi tylko o wykazanie, że nawet taki zwolennik powszechnego głosowania, jak Mill, idący tak daleko, że nawet kobietom przyznaje prawa wyborcze, widzi przecież wielkie niebezpieczeństwo w wprowadzeniu w życie tej teoretycznej „sprawiedliwości" bez poważnych zastrzeżeń.*)

Zaznaczyłem już, że dzisiejszy sposób głosowania w Austryi wyprzedził pod pewnemi względami żądania Milla. Każdy, kto płaci 5 złr. stałego rządowego podatku, ma prawo wyboru bez względu na to, czy umie czytać i pisać, czy zna regułę trzech, czy przez trzy lata miał stałe zatrudnienie, jak tego Mill wymaga. O tem zaś, aby ludzie inteligentni, stosownie do stopnia swego wykształcenia, rozporządzali większą ilością głosów, aby głosy rzucone na kandydatów innych okręgów wchodziły w obliczenie, nikt w Austryi nawet nie pomyślał. Ztąd też według opinii znacznej ilości ludzi najbardziej postępowych, ale nie przesiąkniętych doktrynerstwem, zdrowa reforma wyborcza powinna polegać nie na rozszerzaniu praw głosowania, nie na powiększeniu liczby posłów, lecz na zniesieniu, a raczej ograniczeniu istniejących kuryi i na przyznaniu inteligencyi takich praw przynajmniej, aby nie ginęła ona tak, jak się to dziś dzieje, w masie nieinteligentnych wyborców. Ludzie ci, prawdziwie postępowi a nie doktrynerzy, sądzą bowiem, iż trochę zdrowego rozsądku wystarcza, aby pojąć, że kiedy np. w mieście człowiek przeciętnie inteligentny może wiedzieć (nie mówię musi) jakich zasad przedstawicielami są kandydaci i jakie posiadają warunki do godnego piastowania mandatów, to robotnik i stróż domowy, choćby czytać i pisać umieli, nie będą u nas znali kandydatów często nawet z ich nazwisk. Głosy przez nich oddane, to nie głosy ludzi wiedzących co czynią, lecz głosy zdobyte agitacyą, lub za pieniądze. Ci ludzie postępowi, a nie doktrynerzy, twierdzą jeszcze dalej, że cały dzisiejszy postęp zawdzięczamy nie tłumom, choćby te czytać i pisać umiały, ale ludziom inteligentnym, umysłom wyższym o szerokich poglądach. Równouprawnienie wszystkich stanów nie wyszło z dołu lecz z góry. Cały dzisiejszy prąd socyalistyczny zawdzięcza swoje istnienie nie masom robotników, lecz jednostkom z pośród inteligencyi, które sprawę polepszenia losu pracujących wzięły do serca. Najgorszym doradcą mas byłby ten, któryby w ręce ludzi od pługa i warsztatu składał kierownictwo losami państwa. Prostem następstwem byłyby: anarchia, samowola, uciemiężenie wszelkiej inteligencyi, despotyzm mas, rujnujący stosunki ekonomiczne, zagrażający wszelkim dorobkom cywilizacyi.

Tak się zapatruje znaczna ilość ludzi prawdziwie postępowych na powszechne głosowanie w Austryi. Może dobierają kolorów nieco ciemnych, może obawy ich są przesadzone, ale w każdym razie trzeba się liczyć z tem, iż oprócz socyalistów znajduje się zaledwie nadzwyczaj drobna liczba ludzi sprzyjających powszechnemu głosowaniu. A lubo nikt nie może zabronić robotnikom, ażeby domagali się przyznania sobie praw jak najszerszych, to z drugiej strony należy pamiętać o tem, iż ludność państwa nie składa się z samych robotników, a więc nietylko ich życzenia muszą być uwzględnione. W Anglii, będącej mistrzynią życia konstytucyjnego, gdzie nawiasem mówiąc robotnik stoi dziesięć razy wyżej pod względem inteligencyi od robotnika np. galicyjskiego, powstała wprawdzie naprzód myśl głosowania powszechnego, ale praktyczność starego Albionu nie dała jej w czyn zamienić.

Zwolennicy zresztą powszechnego głosowania w Austryi zapominają o tem, iż każdy rozsądny człowiek i każde rozsądne stronnictwo musi się liczyć z faktami, z tem, co jest możliwe do uzyskania. Każdy w zasadzie pragnąłby dla siebie najwięcej i rzecz to zupełnie zrozumiała, a jednak każdy ogranicza się na tem, co zdobyć może. Reforma wyborcza w Austryi zależy od uchwały parlamentu, a ustawy wymagają dla reformy wyborczej dwóch trzecich głosów w parlamencie. Otóż kto ma choćby najlżejsze pojęcie o składzie parlamentu austryackiego, ten wie, że powszechne głosowanie nie uzyskałoby w nim nietylko dwóch trzecich, ale nawet jednej trzeciej głosów. Przeszło dziesięć lat sterował hr. Taaffe nawą austryacką — wszystko mu się udawało, robił niemożliwe skoki i sztuki łamane — jednak padł i więcej nie powstał na skutek projektu reformy wyborczej, która od powszechnego głosowania była o tysiąc mil oddaloną, a tylko wydawała się krokiem naprzód ku niemu. Wieloletni wrogowie, stronnictwa najsprzeczniejszych zasad, żywioły nie mające ze sobą nic wspólnego, znalazły się ze sobą w jednym obozie, odłożyły na bok swoje spory zasadnicze i zrzuciły hr. Taaffego z fotelu prezesa ministrów, który, zdawało się, objął w dożywotnie posiadanie. Pomijając zatem wszelkie wywody teoretyczne, wszelkie zapatrywania na tę sprawę, nikt z ludzi trzeźwych nie może żądać od hrabiego Badeniego, aby reformę wyborczą oparł na podstawach głosowania powszech-

*) Autor niniejszego artykułu zastrzega się, że powołując się na zdanie Milla i wogóle w dalszych swych wywodach, ma na myśli stosunki austryackie i galicyjskie — tam bowiem, gdzie pod hegemonią państwową ledwo żyją uciskane narodowości, głosowanie powszechne bez zastrzeżeń, może być jedynym środkiem wymierzenia im jakiej takiej sprawiedliwości. I w tem nowy dowód, iż doktrynerzy nie liczą się ze stosunkami.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Letourneaux i Lola padają sobie w objęcia i pozostają w długim uścisku. Brawa i oklaski nie mają końca.

Jest to moment, w którym „mąż" ma zleźć prędziutko z drabinki, wpaść na scenę i schwytać żonę wraz z kuzynkiem na gorącym uczynku.

Tymczasem Józefowi wydarza się na drabinie nieszczęście, uniemożliwiające poprawne wykonanie dyspozycyi autora. Łasiecki szarpie go za poły i krzyczy:

— Józek, złaź.... złaźże raz Józek, Józek!

Atoli Józek szamoce się w górze i odpowiada w rozpaczy:

— Ty, Łasiecki.... Nie mogę wyciągnąć głowy z tej przeklętej dziury!...

Trzęsie całą dekoracyą.

— Skręć ją na bok — doradza Łasiecki — prędzej, prędzej. Złaź-że do stu djabłów!

Równocześnie między publicznością wydarza się inny wypadek, zabawniejszy niż wszystkie te, które opisał pan Labrique w swej wielce zabawnej komedyi.

Klepka, spostrzegłszy próżne wysiłki Józefa w okienku, nachyla się do starego Ranieckiego i wśród spazmatycznego śmiechu woła, pokazując palcem:

— Hu, hu, hu. Patrzajcie sąsiedzie, patrzajcie. Józef nie może głowy wyciągnąć, hu, hu, hu!

Ten wybuch szalonego śmiechu denerwuje Ranieckiego. Więc w odpowiedzi, zamiast skierowania wskazującego palca w okolicę kamizelki sąsiada, pakuje mu dla lepszego efektu całą pięść w biodro. Klepka podnosi w obronie ramiona do góry, odskakuje w bok i uderza Marcysię Borajską łokciem w ucho. Powstaje krzyk i zamięszanie.

Przerażony Klepka zrywa się i z pokorną miną przeprasza uniżenie zacną sąsiadkę za swą namacalną nieuwagę.

Na szczęście w tym czasie Józef Raniecki, wydobywszy głowę z okienka, wpada na scenę i kładzie kres konfliktowi zasceniczńemu:

Mąż: „Aha, mam was! (woła gromko i zwraca się do Letournaux) Mój panie, jutro pomówię z panem w inny sposób, a teraz proszę opuścić natychmiast mój dom!"

Żona: „Przepraszam, szanowny panie małżonku. Ten pan opuści nasz dom natychmiast, ale przedtem my oboje rozmówimy się w inny sposób".

Mąż: „Moja pani, nie pomogą tu żadne wykręty".

Żona: „Zobaczymy. Bądź pan łaskaw mi powiedzieć, kto to jest tym kolegą biurowym, którego jubileusz dziś obchodzicie, i gdzie ma się odbyć ów jubileusz?"

Mąż: (na stronie) „Aj, aj, coś wie. (głośno zmięszany): Jubileusz?... No, jest to jubileusz mego kolegi Piórkowskiego".

Żona: „Czy może koleżanki: małej Wici?"

Klepka, zapomniawszy już o wypadku, huczy po swojemu.

Mąż: (na stronie) „O, źle! Wie wszystko".

Żona: „Widzisz, stoisz jak żak zawstydzony. Nie potrzebujesz się nawet usprawiedliwiać, gdyż ja wiem wszystko. Otóż dowiedz się dalej, mój panie, że list, który otrzymałeś, ja pisałam; że moja rozmowa z kuzynkiem Maryanem była z góry ułożoną, aby ciebie ukarać. A teraz na kolana przeniewierco i błagaj o przebaczenie. Otrzymasz je pod tym tylko warunkiem, jeżeli mi przysięgniesz, że w przyszłości...."

Mąż: (padając na kolana) „O Henryko, jesteś aniołem, nie kobietą! Przysięgam ci, że odtąd na żadne maskarady i koleżeńskie wieczorki chodzić nie będę, lecz pozostanę ci wiernym do końca życia".

Żona: (zwracając się do Letourneaux) Panie Maryanie, biorę pana za świadka. A teraz proszę panów na kolacyę".

Przedstawienie skończone. Łasiecki odwięzuje sznurek, zasłona opada; publiczność bije oklaski i wywołuje amatorów. Powstaje ruch na sali i głośna rozmowa.

. . . .

W pół godziny potem, zebrani w „Gwia-

nego. Znaczyłoby to po prostu, że chce upaść — i naturalnie upadłby, a jego następca musiałby znowu szukać drogi wyjścia, ale nie znalazłby jej nigdy w kierunku głosowania powszechnego, bo podzieliłby los hr. Taaffego i hr. Badeniego.

Czegóż chciał hr. Taaffe? Oto nie znosząc kuryi, pragnął tylko rozszerzyć prawo wyborcze na wszystkich umiejących czytać i na wojskowych, którzy się dosłużyli stopnia podoficerskiego. Wskutek tego cyfra głosujących z 1,800,000 miała dojść do czterech i pół miliona. Wywołało to przestrach paniczny i następny gabinet koalicyjny, wziąwszy po hr. Taaffe spadek reformy *cum beneficio inventarii*, usiłował wymyślić inny projekt, któryby prędzej mógł liczyć na przyjęcie. Ale z projektem tym szło nieraźno: na co przystaliby jedni, na to nie chcieli przystać drudzy. Rząd cofnął swój projekt, bo nie miał poparcia, również cofnął swój odmienny projekt i hr. Hohenwart. Myślano o utworzeniu izb robotniczych dla robotników fabrycznych, któreby miały prawo wybierać, jeżeli się nie mylę, dwudziestu posłów, z których na Galicyę trzech przypadać miało. Przeciw tej piątej kuryi stanowczą opozycyę założyło Koło polskie. Projekt Rutowskiego, który dopuszczał do głosowania oficyalistów prywatnych, wikarych, drobnych urzędników i t. p. (jednem słowem tę inteligencyę, która nie ma dziś prawa głosowania) i wogóle wszystkich, którzy dziś płacą przynajmniej 100 złr. za mieszkanie, uzyskał wprawdzie aprobatę Koła polskiego i lewicy, ale to mu nie zabezpieczyło dwóch trzecich głosow większości.

Projekt hr. Badeniego jest szerszy, bo stawia nowych 72 posłów, którzy mają być wybierani przez powszechne głosowanie. W tej piątej kuryi głosowaliby i wszyscy ci, co wybierają i w kuryach istniejących. Biorąc na uwagę same cyfry nie ulega wątpliwości, iż projekt ten dalekim jest od liczbowej sprawiedliwości. Ogólna liczba wyborców wynosiłaby 3,600,000, którzy wybieraliby 72 posłów, kiedy połowa tych wyborców (1,800,800) wysyłałaby do parlamentu 353 posłów. Ale w każdym razie nikt nie zaprzeczy, że ci, którzy nie mieli dotychczas prawa wybierać ani jednego posła, wybieraliby ich 72. Cyfra to nie wielka wprawdzie w stosunku do ogólnej liczby posłów, ale w parlamencie austryackim bardzo poważna. Dziś „Koło polskie“ ze swymi 54 posłami zajmuje stanowisko na liczbę głosów tak poważne, iż każdy rząd z niem się rachuje. Bez tych 54 posłów trudno sobie wyobrazić większość w parlamencie, składającym się z tylu żywiołów i z tylu narodowości. Ztąd też wejście nowych 72 posłów może wpłynąć bardzo na nowe ukształtowanie się stosunków i stronnictw. Nie można więc lekceważyć tej liczby, nie można powiedzieć, iż dar hr. Badeniego jest niczem dla zwolenników radykalnej reformy wyborczej. Zresztą, jak już podniosłem, ta tylko reforma może wejść w życie, która pozyska dla siebie dwie trzecie parlamentu, a zdaje się, iż projekt hr. Badeniego ma zupełną szansę otrzymania tej ilości głosów. Złożenie go *ad acta*, to odwleczenie reformy wyborczej na długie czasy.

Jeżeli kto jednak na tej reformie straci, to bezwątpienia Koło polskie. Dla polaków galicyjskich projekt gabinetu hr. Badeniego jest wielką niesprawiedliwością. Galicya już dziś jest upośledzoną, bo wybiera tylko 63 posłów, kiedy według ludności powinna wybierać 76. Niesprawiedliwy ten stosunek powiększy się, bo na Galicyę z nowych 72 posłów przypadnie zaledwie 15, a powinno przypaść 18. Zamiast więc przy sposobności reformy wyborczej naprawić upośledzenie Galicyi, gabinet hr. Badeniego jeszcze je znacznie powiększa. A najgorzej na tem wyjdą, powtarzam po raz drugi, polacy galicyjscy, bo lubo Kołu polskiemu przybyć może kilku posłów więcej, to w stosunku do ogólnej ilości posłów ważność jego liczebna znacznie zachwianą zostanie. Przy głosowaniu w nowej kuryi według wszelkiego prawdopodobieństwa na 15 posłów wyjdzie 8 polaków, a 7 rusinów. Koło polskie zatem liczyć będzie 62 posłów, na ogólną liczbę 425, kiedy dziś liczy 54 na ogólną liczbę 353. To znaczy, że kiedy dziś stanowi nieco mniej niż szóstą część parlamentu, w nowej izbie będzie stanowiło część siódmą — i to jeszcze w tym wypadku, jeżeli członkowie nowej kuryi wejdą w skład Koła polskiego. W przeciwnym razie Koło polskie zejdzie do stanowiska ósmej części parlamentu austryackiego. Jeżeli czemu zatem dziwić się można, to temu, iż Koło polskie nie kładzie stanowczego *veto* przeciw temu macoszemu traktowaniu Galicyi, a względnie ludności polskiej, przez projekt gabinetu hr. Badeniego. Ale my w Galicyi nie dziwimy się już niczemu. My z rezygnacyą przyjmujemy, kiedy minister dla Galicyi, dr. Rittner, który dla tego właściwie jest ministrem, aby sprawy Galicyi zastępował i aby ich bronił, ma odwagę na posiedzeniu komisyi parlamentu powiedzieć posłom polskim, iż i tak za dużo Galicyi projekt przyznaje mandatów.

Tak więc (o ile mam prawo sądzić opierając się na znajomości stosunków) wobec dzisiejszego składu parlamentu austryackiego hr. Badeni z projektem swojej reformy wyborczej jest zupełnie w porządku, bo z jednej strony pozostawił w tyle zakrawające na czystą farsę projekty z czasów ministeryum koalicyjnego, z drugiej strony nie posunął się tak daleko, jak hr. Taaffe, a więc stworzył możliwość przyjęcia reformy przez parlament. Natomiast nie jest hr. Badeni w porządku wobec Galicyi, bo jej kosztem zyskuje sobie poparcie innych stronnictw. Ale to już takie nasze szczęście, że im więcej polacy rządzą w Austryi, tem więcej za ten zaszczyt Galicya płacić musi. Zebyśmy zamiast czterech ministrów polaków, nie mieli żadnego, z pewnością Koło polskie znalazłoby w sobie odwagę powiedzieć: „kochany rządzie wypowiadamy ci służbę, bo nietylko przyobiecanych podarków nam nie dajesz, ale krzywdzisz nas przy wypłacie prawnej należytości!“

K. Bartoszewicz.

NB. Dla uniknienia możliwych zarzutów oświadczam, że reforma hr. Badeniego bynajmniej mnie nie zachwyca, — jest ona bowiem bardzo daleką od ideału. W dzisiejszych stosunkach uważałbym za taki ideał a) zniesienie kurji większej własności, boć nonsensem i niesprawiedliwością krzyczącą jest, aby 5000 „wysokiej szlachty“ (pomiędzy

---

ździe“ Kołczanowianie, zapomnieli już o amatorskiem przedstawieniu. Z sali uprzątnięto stołki i krzesła. Mistrz Storch bębni swoim sposobem na fortepianie, a młodzież szaleje, rozbijając się nawzajem.

Tylko Smolarz nie dzieli ogólnej radości. Siedzi wciąż jeszcze w granatowej liberyi za sceną w małej ubieralni i duma. Przy nim jest także mocno stroskany Łasiecki.

Smolarz po dłuższem milczeniu otrząsa się nagle i uderza zaciśniętą pięścią w stół.

— I cóżem ja mu zawinił — woła zgnębiony. — Ja go zabiję jak wściekłego psa.

— W słowach jego, obok rozpaczy, jest ta spokojna flegma ludzi chłodnego temperamentu, która więcej przeraża, niż największy wybuch, przypomina bowiem wezbraną wodę, która mimo gładkości zwierciadła, rozsadza groble i tamy bez trudu.

— Dla mnie już nie ma szczęścia na świecie — dodaje i trzęsie głową.

— — Wiesz co, mój przyjacielu — powiada z westchnieniem Łasiecki, biorąc go za rękę — teraz ci dopiero iść w szeroki świat. Tak, teraz dopiero. Pluń na to wszystko i idź, gdzie cię oczy poniosą. Bo gdy raz kobieta zdradzi, to już jej nigdy wierzyć nie możesz. Cóż ci potem, gdybyś go i zabił? Byłaby to tylko jedna zgryzota więcej i wyrzut sumienia, a przez to ani Loli, ani jej wierności nie odzyskasz. Ja się zawiodłem na niej. Nie masz już żadnej wiary dla niej, nie masz! Idź więc, bracie w świat....

Smolarz duma jeszcze chwilę, poczem wstaje.

— Dobrze mówisz. Chodźmy ztąd.... a prędko, bo inaczej jemu śmierć lub mnie. Wszystko przepadło.

Odchodzą.

Mylił się jednak Łasiecki, pomawiając Lolę o zupełny brak serca.

I ona cierpiała tego wieczora nie mniej od Smolarza. Wśród tańca bez przerwy i wytchnienia, wśród złudnych słówek i spojrzeń Dynieckiego, drży ona i boi się czegoś, jak gdyby przeczuwała bliskie nieszczęście. Niepokój wewnętrzny zmieszał się z rozkoszą. Jest znowu kochaną przez człowieka tak bardzo ukochanego, odzyskała dawne szczęście, a równocześnie zdradza innego, o którym wie, że cierpieć przez to będzie. Lękliwie rozgląda się po sali, czy nie ujrzy gdzie w kącie ponurej twarzy Smolarza, i jego oczu głębokich, czarnych, spokojnych, o namiętnym połysku, utkwionych upornie w nią i Dynieckiego. Wszelako nie widzi tych oczu nigdzie. I znowu trwoży ją myśl, dla czego te czarne oczy nie śledzą jej i nie gnębią wyrzutem, skoro mają zupełne prawo po temu, dla czego nie przyjdą bliżej i nie powiedzą: „zdradzasz mnie, jesteś gadziną“. Byłoby lepiej, gdyby przyszedł i powiedział jej to swemi czarnemi, iskrzącemi się oczami. Ale jego nie było. Gdzież się więc podział, co się z nim dzieje? A powtóre, ten Dyniecki jest również potworem, co gnębi, dając rozkosz. Jest on prześlicznym motylem, od którego oczu oderwać nie można, jest tęczą, mieniącą się ośmiu barwami, lecz motyl może ulecieć, tęcza zniknąć może i pozostanie znowu pustka i tęsknota. I dla tej mary ona zdradza tamtego, na którym polegać może, a który cierpi. Franciszek odszedł, albowiem patrzeć na nią nie chce, a nie chce dla tego, że go haniebnie zdradza. On dobrze zrobił, że odszedł zrobił dobrze dla siebie i dla niej, bo skrócił mękę, lecz pocóż jest nieszczęśliwy sam tylko, skoro ona jest tutaj współwinną.... dla czego nie widzi, że i ona cierpi przez niego, że gotowa jest złożyć przed nim ręce i błagać pokornie o litość.... że oddałaby w tej chwili bardzo a bardzo wiele, byleby on przestał złorzeczyć i przebaczył jej ze spokojem.... Obecnie szczęście Loli jest duszne i gnębiące, jak pobyt w rajskim ogrodzie wśród róż i jaśminów, odurzających wonią, z pod których jednak ma lada chwila wypełznąć zjadliwy potwór, co jej życie odbierze.... Zaczajonym w różach potworem jest wyrzut sumienia, a krzewem róży piękny Dyniecki. Lecz i ten Dyniecki, ten piękny Dyniecki, bez którego Lola żyćby nie mogła, ma w sobie obecnie coś również szczególnego, coś, co przypomina wspaniałego lwa, który niedawno nasycił się krwią zdławionej sarny, i zadowolony z siebie, rozgląda się dokoła ze zwierzęcym spokojem.... Dobre dusze nie znoszą przewagi brutalnej siły nad niewinną słabością i biorą pokrzywdzone istoty w obronę. Szlachetniejszy pierwiastek w uspo-

którą jest już dużo „niewysokich“ żydów) wybierało 85 posłów, to jest posiadało blisko czwartą część mandatów (właściwie szlachta posiada ich **połowę**, bo i z innych kuryj bywa wybieraną), b) przydzielenie tych mandatów zniesionych upośledzonym przez ustawę miastom, jako ogniskom inteligencyi, z zastosowaniem proponowanej przez Milla, a przyjętej już w Belgii, **wielości** głosów stosownie do poziomu umysłowego wyborców. Nawet hr. Stan. Tarnowski już przed 20 laty stanowczo się oświadczał za zniesieniem kurji większej własności (**Przegląd Polski** z r. 1876 w artykule p. t. „Obrachunek Prz. P-go“). Ale „ideał“ ten trzeba na razie uważać za **pium desiderium** wobec liczebnej przewagi „wysokiej szlachty“ w parlamencie.

K. B.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie wystawy grudziądzkiej: — W Nr. 28 „Gazety Grudziądzkiej“ czytamy korespondencyę następującą:

„Uważam za potrzebne, aby przemysłowcy polscy w wystawie grudziądzkiej nie brali udziału, t. j. nic tam nie wystawiali.

W wystawie poznańskiej brali Polacy udział, bo tam równouprawnienie polskości przy niemczyznie przyobiecano solennie. Więc Polacy tam pójść mogli i powinni byli. Prawda, że potem pod różnemi względami niemiecka większość komisyi wystawowej nie dotrzymała przyrzeczenia. Ale to było potem. W Grudziądzu o równouprawnieniu polskiego języka, o nadaniu wystawie tego charakteru jaki się należy wystawie w prowincyi, w której większa połowa ludności jest polską, nie ma przy panującej przeciw nam zaciekłości ani mowy.

Przeciwnie wystawa grudziądzka będzie uważaną i przedstawioną jako tryumf niemieckiej kultury nad naszą. Nam by tam urągać mogli, nas tam nie chętnie by widziano, uważano raczej jako tych wścibskich, co i tam włażą, gdzie ich niechętnie się widzi. Jeżeli zaś kogoś z naszych przyjmą niby łaskawie, to w przypuszczeniu, że on jest człowiek wyjątkowo „porządny,“ on do tej brzydkiej „polskiej propagandy“ nie należy, tak że za każdą grzeczność i ułatwienie ten człowiek (właśnie że porządny) wstydzić się będzie musiał.

My temu nie winni, że brać udziału we wspólnej pracy z niemieckimi współobywatelami nie możemy. Ślepa ich zaciekłość odpycha nas, a gdy się nie usuniemy sami, to nabawimi się wstydu. Opatrzność widocznie żąda od nas, abyśmy się skupili sami w sobie. To uważając powiedział ktoś: urządźmy sobie wystawę własną.

To bardzo się na pierwszy rzut oka podoba. Ale tak sądzę, że mamy sił do tego za mało. Dawniej urządzano polskie wystawy, ale miejscowe bez pretensyi. Teraz chodziłoby o całe Prusy Zachodnie. A na prowincyonalną wystawę sił mamy o wiele za mało. Przypatrzmy się tej myśli za lat trzy, ale przez ten czas przygotuwujmy się do niej namyślaniem, czego nam potrzeba, nawracaniem się z naszego rozbicia do coraz pilniejszego się skupiania, do kupowania nietylko u swoich, ale do noszenia wszelkiego pieniądza we wszystkich potrzebach tylko do swoich. Idzie za tem, że trzeba od swoich także wiele wymagać, aby się nic nie traciło i aby swoi nietylko zyskali na siłach, ale się poprawili i podnieśli. Ten wszakże, któremu się źle powodzi, rzadko tylko może być tak dzielnym jak ten, któremu sie dzieje dobrze i który przez to w spokoju pracować może. Pamiętajmy o tem i nie żądajmy od razu za wiele.

Gdy w ten sposób przez choćby 3 lata pracować będziemy, okaże się,

1) że jesteśmy jednością i ogromną liczbą silni i że znaczna ilość zabłąkanych braci powróciła do nas;
2) że między nami są wielkie talenta i wszelkiego rodzaju przemysłowa zręczność, jakiej nie ma między niemcami;
3 że te nasze zdolności wyjść już mogą z ukrycia, bo swoi uznają, że wystąpić mogą na wystawie, gdzie i obcy podziwiać je będą.

Ale tak trzeba się do tego przygotować, jak powyżej podano.

Ale czy tak pracujemy?... Ja proponuję, abyśmy sobie najprzód wystawę urządzili z naszego rozbicia. Tę poznawszy pojmiemy pewnie, że towarzystwa zrobiły początek u nas do poprawy i do zjednoczenia, ale początek dopiero, mały, słaby początek. Tę resztę musimy dorobić. Musimy sta tysięcy polskich dusz w Zachodnich Prusach, łażących od żyda do żyda, od innowiercy do innowiercy, i rozumiejących wprawdzie, co to katolik, ale nie rozumiejących co to Polak i obowiązki społeczne, najprzód do jednego polskiego obozu doprowadzić. Wiemy co to za obóz jest: złączenia się wszystkich Polaków do wspólnej pracy w celu podniesienia się z rozbicia i z upadku, z nędzy wszelakiego rodzaju. W tej pracy wszyscy prawi obywatele udział brać powinni cicho lub głośno, ale od wszystkich współpracy tej wymagać należy.

* * *

Lojalizm żydowski w Królestwie polskiem i cesarstwie rosyjskiem. — Korespondent warszawski „Słowa Polskiego“ (Lwów) podaje w Nr. 61-szym wiadomości następujące:

Wobec zapowiedzianego, w pismach rosyjskich, wprowadzenia zmian o obowiązującem dotychczas prawodawstwie dla żydów, a może pod wpływem nadziei dostąpienia „łask najwyższych“ z powodu koronacyi, żydzi w cesarstwie i Królestwie zaczynają, co raz częściej, występować ostentacyjnie z objawianiem swych uczuć wiernopoddańczych i usposobień arcyprawomyślnych. Oto n. p. jak przemawia do gminy wiernych rabin osady Sobota, powiatu łowickiego, w dzień imienin cesarza Mikołaja. „Żeby być wiernym obywatelem (treść mowy podajemy według „Warszawskich Gubernialnych Wiadomości“ Nr. 5), koniecznie trzeba znać język kraju, w którym mieszkasz, gdyż, jak mówią talmudyści: dobrem jest wyuczenie się Tory razem z wyuczeniem się języka kraju, ktory winien być uważany za swoją ojczyznę. Nauczajcie więc swoje dzieci ojczystego języka ruskiego. Czas jest, byście się ockneli ze swego przemarznięcia w ciemnościach, w którem kostniejecie od tylu wieków i szli drogą oświaty. Nie zostawajcie w tyle po za swymi braćmi w innych państwach, np. we Francyi, Anglii i Niemczech, a także w guberniach południowo-zachodnich naszej drogiej ojczyzny, którzy pozbyli się wszelkich fantastycznych poglądów i umocniwszy się w swych uczuciach

---

sobieniu Loli, mimowolnie staje po stronie pokrzywdzonego i pyta: Lolu, a tobie nie żal tamtego?

Wszystkie te uczucia wtłoczone naraz w chore serce dziewczęcia, w serce chore moralnie, bo zbiedzone kilkudniową wewnętrzną rozterką, chore fizycznie wskutek szeregu nocy bezsennych i płaczu i tęsknienia i żółci, co się z krwią zmieszała — wszystkie te uczucia zdziałały, że Lola, choć cieszy się odzyskanem szczęściem, choć wciąż sobie powtarza „mam je znowu“, przecież cierpi bardzo.

Właśnie przetańczyła z Dynieckim galopa, gdy zbliża się do niej pani Marcysia i powiada z cicha:

— Chodź Lolu ze mną do ubieralni. Odpięła ci się falbanka.

Usłuchała bezmyślnie rozkazu macochy.

Gdy znalazły się sam na sam w przyległym pokoiku, Borajska spojrzała na pasierbicę zjadliwym wzrokiem i syknęła:

— I co ty robisz waryatko. Czy nie wiesz, co wszyscy o tobie mówią?

Lola wyprostowała się dumnie.

— Czyś oślepła i ogłupiała? — pyta dalej Borajska ze złością.

— Mamo!... co to za ton dziki?!... Bardzo proszę! — wybuchła dziewczyna oblewając się ogniem.

— Ja cię przeproszę, krnąbrna dziewczyno! Oto masz:

Uszczypnęła ją z całej mocy w obnażone ramię i odeszła na salę, zawijając ogonem.

Lola wrzasnęła przeraźliwym głosem i upadła z płaczem na krzesło.

Szczypało ją dziś wszystko: Franck, Dyniecki, sumienie, ludzkie oczy, wreszcie ta niegodziwa macocha. Czyż nie miała czego płakać, gdy do tylu przykrości przyłączył się silny ból w ramieniu?

Wkrótce jednak otarła łzy i wyszła na salę.

Tam był przecież ktoś, co ją mógł zasłonić przed krzywdą i otoczywszy ramieniem niby puklerzem, mógł pokazać złym ludziom silną pięść i powiedzieć:

— Nie tykajcie jej, ona jest moją....

Ujrzała go z daleka, uniosła ramiona jak ptaszę skrzydła do lotu, oparła się na jego muskularnych barkach i gorącej piersi.

— O, bierz mię i nieś! — prosi cała jej istota — bierz mię i nieś, gdzie ci się podoba. Tańcz, szalej, wyrwij z duszy męczarnię.... Przetańcz sto razy w koło i zabij w końcu; zabij, lecz przedtem pozwól, bym wraz z tobą wypiła do dna wszystko szczęście, jakie życie dać może Chwilkę jeszcze chcę żyć, ale chcę przez tę chwilkę być nieskończenie szczęśliwą, szczęśliwą aż do utraty zmysłów.

. . . .

Świtaniem wróciła Lola do domu na pół nieżywa, a na drugi dzień rano dostała silnej gorączki.

* * *

II.

Jakieś złe widmo przeleciało nad domem Kajetana Borajskiego i zawadziło o kominy spokojnego dotąd ogniska swą zakaźną szatą, wywracając zdrowy porządek rzeczy. Wszystko, co dotąd sprawiało staremu, poważnemu i uczciwemu pracownikowi przyjemność i zadowolenie z życia, od kilku dni poczęło wypaczać się, gnić i rozbijać.

Miał córkę zdrową i hożą — teraz już trzeci dzień leży ona w gorączce, a dwaj doktorzy nie wiedzą, co jej jest. Córka była już narzeczoną i zamiast mienie uszczuplić, wniosła mu posag w dom, dawała mu za zięcia człowieka, co wart był więcej niż dziesięć posagów. A oto ten przyszły zięć, ta prawdziwa perła, już zięciem więcej nie będzie, bo właśnie oświadczył, że się rozmyślił i nie chce żenić się z Lolą, lecz idzie sobie w świat. Miał dalej pan Kajetan dobrą żonę. Marcysia co prawda, swarliwa trochę była, lecz ostatecznie nie była złą ani dla Loli, ani dla niego. Teraz nagle coś się kobiecie stało, że lepiej nie zbliżaj się do niej. A w dodatku stary poczyna się domyślać, że Lola właśnie przez macochę choruje.

Ot i cały porządek codziennego życia, takiego, jak to Bóg przykazał, wypaczył się jakoś i coraz gorzej na świecie....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

religijnych, idą drogą oświaty, dając dzieciom swym wychowanie, odpowiednie do ducha czasu.

Państwo, w którem oświata idzie ręka w rękę z religią i gdzie przeważa cywilizacya, jest potężniejszem i szczęśliwszem pod każdym względem. Dla tego też, bracia moi, zdejmcie zasłonę ze swych oczów i oświećcie swój umysł naukami kształcącemi, wówczas w rzeczy samej będziecie członkami państwa ruskiego i wiernymi poddanymi naszego Najmiłościwszego cesarza, za którego zdrowie i powodzenie, odprawiamy modlitwę". Tak więc przemawia członek społeczeństwa, uciskanego przez rząd rosyjski wcale nie mniej, niż to Rzym niegdyś czynił; nazywa „naszą drogą ojczyzną" kraj, w którym żydzi doznają prawdziwie barbarzyńskich ograniczeń, na które nawet antisemita patrzy jak na niedorzeczność.

Wiecie zapewne, że na znacznej części tej „drogiej ojczyzny" żydom mieszkać nawet nie wolno, ale z pewnością nie macie wyobrażenia o tem, jakim wyjątkowym i nieludzkim ograniczeniom podlegają oni, dzięki rządowi tej „drogiej ojczyzny". Czyście słyszeli kiedy, ażeby jaka „ojczyzna" odbierała człowiekowi choremu, możność ratowania swego zdrowia? Tymczasem w Rosyi jest to możliwem, zabraniają im tu bowiem korzystania ze zdrojowisk kaukazkich. Miłość swą „droga ojczyzna" objawia żydom tysiącznymi innymi sposobami. I tak np.: oprócz ogólnych podatków, każe im wnosić specyalne opłaty: od każdej sztuki bydła bitej podług rytuału żydowskiego i od samego mięsa koszernego; za noszenie ubioru żydowskiego; od świec, zapalanych w piątki na mocy przepisu religijnego; od zakładów drukarskich, w których drukują się książki hebrejskie etc. etc. W takiej ojczyźnie, już dawno mogli stracić żydzi owe „fantastyczne" poglądy, do których porzucenia zachęcał ich rabin sobocki; jednakże, widać z wszystkiego, że zrozumienie przez nich „ducha czasu" uczyni rząd „drogiej ojczyzny" łaskawszym dla nich.

Prasa żydowska w cesarstwie zaczyna się także przypochlebiać rządowi rosyjskiemu i płaszczyć się przed nim, czyniąc nikczemne insynuacye pod adresem społeczeństwa polskiego. Wyzwalanie się handlu w Królestwie z pod wpływów wyzyskiwaczy, nie cieszy niektórych przedstawicieli tej inteligencyi żydowskiej, która już oddawna korzysta z dobrodziejstw wychowania młodzieży w duchu rosyjskim. Redaktor np. pisma żydowskiego „Niedielnaja chronika Woschoda," p. Landau, zakładanie sklepów chrześciańskich i przechodzenia handlu w ręce chrześcian, stara się podciągnąć pod cele ogólniejszych aspiracyj narodu polskiego. Insynuuje on, między innemi, że „prasa (nasza) widząc wybawienie narodowości polskiej we wzmocnieniu stanu średniego, stara się wszelkiemi sposobami wyrwać handel z rąk żydów." — Takiemi są niektóre objawy wzmagającego się, w przewidywaniu łask monarszych, lojalizmu żydowskiego; przyszłość najpewniej przekona żydów, jak marną i bezużyteczną jest ta cała robota, oparta na prawomyślności uczuć i schlebianiu sferom rządowym."

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Pesymiści-melancholicy.

(*E. Orzeszkowa. Melancholicy, nowele. — Warszawa 1895, 2 tomy*).

(Ciąg dalszy).

I bohaterowi „Jednej setnej" zaszczytne miano melancholika nie należy. Jest on rodzonym bratem duchowym poprzedniego bohatora, a że się urodził w pałacu, że miał na swe rozkazy miliony, więc też nie rozpaczał, tylko hulał, póki ciało wytrzymało. Na łożu śmierci ta ruina ciała i duszy naprzód ciekawą jest, co się z nią stanie po śmierci, a następnie opowiada doktorowi swoje szaleństwa i parę drobnych dobrych uczynków, jakie mu się przypadkiem spełnić zdarzyło. Te uczynki to owa „jedna setna", która przy odpowiednich warunkach, jak on sam mówi, a przy odpowiednich chęciach, jak my możemy powiedzieć, mogła wzróść na szkodę tamtych 99 części złych. Nie wiem czy Orzeszkowa chciała wzbudzić litość i uzyskać przebaczenie dla tej ujemnej jednostki na podstawie tej „jednej setnej" — nie wiem czy słowa opowiadającego: „żądam równouprawnienia dla maluczkich i pokrzywdzonych, tak na padołach jak na wyżynach przebywających... miłosierdzia żądam dla jasnych panów, litości dla milionerów" — są wyrazem zapatrywań Orzeszkowej, ale jeżeli tak jest, to stanowczo przeciw temu zapatrywaniu należy wystąpić. Miłosierdzie rzecz piękna, wspaniała, ale ma swe granice, inaczej nie byłoby sprawiedliwości. Komu wiele dano, ten większy rachunek zdać musi, a rachunek bohatera „Jednej setnej" przedstawia się fatalnie. Na setki olbrzymich pasywów jest tylko drobna pozycya aktywów... w dobrych chęciach. To nie wystarcza i dla biedaków, a cóż dopiero dla jasnych panów.

Za to opowiadanie „Bracia", trzymane ściśle w formie noweli zasługuje na wysokie uznanie tak dla tendencyi jak i dla jej przeprowadzenia. Występuje w niem rzeczywisty pesymista-melancholik, ale z tych silnych, zdrowych, nie upadających pod ciężarem pracy i obowiązku, choć życia nie mają zasłanego różami, choć napada ich zwątpienie, choć ciągle dręczy ich pytanie: czy nie lepiej byłoby im użyć świata niż z zaparciem się pełnić swą powinność? To jeden brat, a drugi to zupełne przeciwstawienie. Kiedy pierwszy zakopał się na wsi w Zapolance i zamiast oddać się sztuce, która otwierała mu swoje podwoje, orze zagon rodzinny, aby się nie dostał w ręce przybyszów, a raczej wrogów, boć rzecz się dzieje na Litwie, — drugi na obczyźnie, w Moskwie czy Petersburgu, szuka karyery i majątku. Jest inżynierem, mechanikiem, przemysłowcem, żyje wygodnie bez trosk, pije rozkosz ze wszystkich źródeł jakie napotyka. Nie ma wyższych ideałów, nie odczuwa wspólnego tętna ze środowiskiem, z którego wyszedł, etyczne poglądy ma bardzo swobodne, a choć nie popełnia nic takiego co jest sprzecznem z paragrafami, nie uczyni z pewnością i nic takiego, co się zapisuje w złotą księgę zasług i dobrych uczynków. I usposobienie obu braci jest różne: pierwszy zadumany, poważny, szukający zadowolenia z pracy rąk własnych, zgorzkniały przez samotność i mały widnokrąg swej działalności, drugi wesoły, płochy, rozmowny, dowcipkujący, troszczący się jedynie o swoją powierzchność i o to, aby najlepsze sprawiał wrażenie. Ci dwaj bracia spotykają się ze sobą po ośmnastu latach niewidzenia się. Pierwszy drży z radości na samą myśl, że ujrzy brata, że przepędzi parę dni z nim na serdecznych wynurzeniach i pogawędce, że wraz z jego przybyciem zstąpi do jego

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

Każdy nowo przybyły zmuszony jest podpisać dokument zaangażowania się na lat pięć; zaprzysiężenia nie zna legia, stosunek więc żołnierza do swego pułku i do rządu francuskiego jest więcej kontraktowny niż moralny. Zaraz po zapisaniu w księgi wojskowe dostaje legionista swój numer — *matricule* — i odtąd nazwisko jego właściwe idzie wobec pułku, we wszystkich stosunkach służbowych formalnie w niepamięć i zapomnienie. Jako szeregowiec nie jesteś niczem innem jak numerem, żaden z przełożonych ciebie się nie zapyta: *quel est votre nom?* tylko *quel est votre matricule?* a ponieważ numerowanie to ustawicznie idzie dalej od 1—25,000 przy każdym pułku, więc poznać z liczby tej i lata służby czas zaangażowania, a wreszcie ginie tem samem dla oficera trudność wymówienia nazwisk cudzoziemskich, których tam jest pełno. Francuz w wymowie obcych imion bodaj czy szczęśliwszy jest od Niemca, — połowa legionistów nazwiska własnego by nie zrozumiała, wymówionego przez usta francuskie. To też pierwszem staraniem nie posiadającego języka francuzkiego rekruta jest nauczyć się swego numeru na pamięć. Imatrykułowany w ten sposób szeregowiec podciągnięty bywa egzaminowi co do zdatności umysłowych i wiadomości szkólnych. Każdy oddaje tak zwaną *„page d'écriture"* — próbę pisania — w której streszcza bieg życia swego, bądź to w języku rodzinnym, bądź francuskim, wyłuszcza cele, dla których przybył do legii i zamiary swe oraz chęci. Jeżeli posiada jakieś świadectwa, natenczas oddaje takowe, zwłaszcza, że chcąc awansować, potrzebne są dokumenta dotyczące przeszłości i obyczajów z kraju rodzinnego. Kto ich nie ma lub ma powody dyskretne tajenia się z swą przeszłością, zachować może tajemnicę, nikt go badać nie będzie o prawdziwe nazwisko lub miejsce urodzenia, lecz taki legionista — a jest ich wielu — zrzeka się raz na zawsze awansu, który w innym razie dość korzystnie się przedstawia. Wielka część oficerów mojego pułku dosłużyła się swego stopnia od najniższej szarży; po ubiegu lat pięciu, skoro się ma kwalifikacye, zdrowie i chęć pozostania dłużej w legii, otrzymuje się zazwyczaj rangę lejtnananta a i pułkownik nasz wyszedł z grona prostych legionistów. Ztąd pochodzi, że stopnie najrozmaitsze bywają zajmowane przez cudzoziemców, tak np. kapitanem naszem był Włoch, majorem Belgijczyk, adjutantem pułkowym Polak, hr. Dzieduszycki. — Wielką trudność sprawia poddanym niemieckim, pragnącym wyświetlić swą przeszłość świadectwami, dostawienie odnośnych dokumentów w drodze korespondencyi z władzami niemieckiemi. Listy, żądające jakiegobądź urzędowego poświadczenia z kraju rodzinnego, regularnie pozostają bez odpowiedzi, istnieje bowiem zakaz poufny z gabinetu kanclerza rzeszy, by na cele legii zagranicznej żadnych papierów nie wydawać. Wspomnieliśmy już na wstępie, że obecnie Niemcy największy stawiają kontygens rekruta do legii zagranicznej. Pomiędzy tymi znów Alzatczycy najliczniej są reprezentowani. Całe seciny tego szczepu rozczulająco, mimo różnicy językowej, przywiązanego do kraju, opuszczają ojczyznę z powodu odrazy do niemieckiego munduru, i mimo kary i zamknięcia sobie na czas długi powrotu do ojczyzny, dążą w szeregi francuzkie. Ponieważ jednak nie można zostać żołnierzem francuskim w kraju matczynym, nie mając praw obywatelskich, więc idą do legii zagranicznej, gdzie przez wysłużenie pięciu lat twardej służby, każdy dosługuje się nie pensyi albo posady intratnej, lecz zaszczytu zostania obywatelem wolnego narodu. Francuzi uznając to przywiąza-

dworku promień, który ogrzeje i oświeci monotonność jego życia. Następuje smutne rozczarowanie — bracia nie rozumieją się zupełnie. nie ma pomiędzy nimi żadnych punktów stycznych. Wiktor, brat drugi, gość w Zapolańce, nie da prawie nikomu przyjść do słowa, a ma głos słodki, sympatyczny i zachowanie się tak swobodne, że od razu zniewala dla siebie bratową i jej siostrę, starą, ale jeszcze piękną pannę. Z tą ostatnią nawet zaczyna zawięzywać romansik, choć jedzie do narzeczonej. Zenon, brat pierwszy, gospodarz domu, słucha jego wykładów o mechanice z fabrykacyi gorzelnianej i postępach hydrauliki, choć go to nic nie obchodzi; dowiaduje się, że „tylko wtedy, gdy się ma pełną szkatułę można sobie napełnić serce różnemi dobremi rzeczami", że w morzu najwięcej pięknemi i zdumiewającemi są... telegrafy podmorskie, że zamiłowanie zbytku w młodym człowieku pomaga mu do karyery, do pchania się coraz wyżej, że ziemia i honor nie wymagają ofiar, jeżeli się postępuje bez egzaltacyi i egzageracyi itd. Zenon chciałby się pochwalić przed bratem pięknym ogrodem, gęstwinami malowniczemi, które zajęły miejsce dawnych chwastów, przekonać go, że ziemię można uczynić nietylko urodzajną, ale i piękną, nietylko żywicielką, ale i pocieszycielką, lecz na to odpowiada mu Wiktor, że nie lubi zieleniny. Dorwawszy się raz dłużej do słowa, spowiada się Zenon ze swoich marzeń, poglądów, z miłości dla ziemi i ludzi, z wyniku swych samotnych rozmyślań o celu istnienia. Dla Wiktora jednak to wszystko „teologia", on nie ma czasu suszyć sobie głowy podobnemi rzeczami; na dynamice, statyce, zna się dobrze, ale nie na nieśmiertelności duszy — niech Pan Bóg zrobi z nią, co zechce, a dopóki żyje *vive la vie!* A po tej rozmowie Zenon zapytuje się samego siebie: który z nas głupi, a który mądry, on czy ja? I bywają chwile, w których wobec brata wydaje się sam sobie niezmiernie małym i marnym: tamten ma zdrowie ciała i ducha, trzeźwość, energię, miłą wesołość, a on myśli ciemne i uczucia wiecznie nienasycone, gryzące serce chore na tęsknotę, na marzenia nieziszczalne. Wiktor odjechał, zostawiwszy brata jeszcze bardziej przygnębionego, z goryczą świeżego zawodu; oczekiwany z taką radością gość, przy którego sercu silnem i współczującem chciał odetchnąć szeroko, dał mu odczuć jeszcze więcej jego samotność, a nawet w żonie jego, kobiecinie swego chowu, pospolitej, z którą wiązało go tylko już przyzwyczajenie, rozbudził jakieś pragnienie, niezadowolenie, rozczarowanie. Z ponurego usposobienia wyrwał Zenona młody jego pomocnik w gospodarstwie, który mu dał dowód szczerego przywiązania, zerwawszy korzystny dla siebie układ, aby nie opuścić „najukochańszego dobroczyńcy swego". Podniesiony na duchu poszedł Zenon ulubioną swą drogą, ku wzgórzu porosłemu sosnami. Piękny obrazek sielski, spokój wieczoru i smutku jesieni, kończy nowelę. Zenon uczuł, że dla tego kawałka ziemi, który się kąpał w zorzy wieczornej, był „kroplą wody i odrobiną światła, a woda użyźnia i światło roztrąca ciemności. Pierzchnęła przed nim zmora samotności, wzniósł oczy ku górze i słał dziękczynną modłę za to, że silnie kocha i nie żałuje niczego „chociaż jest bardzo smutny".

Zatrzymałem się dłużej nad tą nowelą, pełną niepospolitej piękności. Jest w niej głęboki nastrój, jest silna wiara w potrzebę ofiar dla ideałów, jest świeżość myśli, są śliczne choć krótkie obrazy natury, jest konsekwentnie rozwinięty i dobrze umotywowany stan duszy bohatera. Artystyczna oprawa tego studyum psychologicznego jest bez zarzutu. Pod tym względem w całym dwutomowym zbiorze dorównywa mu tylko obrazek „Ogniwa". Jasny pan, który miał niegdyś ideały ukochane, nie może zrozumieć życia młodych pokoleń. Córka i zięć, wnuczki i wnukowie, do miary tych ideałów przyłożeni, choć nie byli „plamami atramentu", objawiali wzrost nadzwyczaj mały. Takiem mu się wydawało i całe otoczenie; ztąd też, kiedy w salonach jego córki toczono rozmowy błyskotliwe, a w apartamentach zięcia rozkładano stoliki do kart, czuł się w tej atmosferze samotnym i wybiegał na ulice. Raz tak błądząc po mieście wstąpił do zegarmistrza, starego żyda, aby oddać zegarek do naprawy. Ujrzawszy stary zegar, jako prawdziwy amator *empirów*, zaczął mu się przyglądać z namiętnością znawcy. Żyd był także znawcą i amatorem, a więc znalazł się styczny punkt między ludźmi nie mającemi na pozór nic wspólnego. Rozgadali się, a z rozmowy wyszło, że mają jeszcze drugi punkt styczny, bo stary żyd był synem Szymszela, co trzymał pacht u ojca „jasnego grafa". Znali się więc za młodu, znali nawzajem swoje rodziny, odgrzebywali też w pamięci dawne wspomnienia. Żyd pamiętał grafinę matkę, z rękami podobnemi do białych lilii, — „te lilie już w ziemi" zauważył graf ze wzruszeniem, — on sam pamiętał żonę Szymszela z oczami jak płomienie — „te płomienie dawno już w ziemi" rzekł z cicha stary zegarmistrz. I pokazało się z dalszej rozmowy, że ludzie ci, tak odmienni stanowiskiem, mieli w życiu jednakie mniejwięcej smutki i jednakie radości. Żyd opowiada historyę zegaru, który wszedł jakby w dzieje jego rodziny i którego też za nic by się nie pozbył — graf ma przy sobie zegarek, który również w dziejach jego życia ma swoje miejsce. Tak rozmawiając z żydem, przyglądając się maszyneryi zegarów i zegarków, wracając myślą w ubiegłe lata, przebył graf u żyda godzin parę „czując kowala niewidzialnego, który kuł między nimi ogniwa niespodzianie". W kilka miesięcy później przeciągał przez ulicę orszak pogrzebowy, a żyd dowiedziawszy się, że to pogrzeb grafa, począł biedz za orszakiem i sam się zdziwił jak zaszedł na cmentarz. „Czego on ze mną rozmawiał jak z bratem?... czego ja teraz za nim idę?" myślał i dziwił się coraz więcej jemu i sobie. A obok cmentarza dostrzegł żółte piaski i sterczące kamienie — to cmentarz żydowski. I znów kowadło kuło ogniwa niewidzialne, a żyd z cicha mówił: „tu jest koniec twój i mój". Piękność tego obrazka leży nietylko w pomyśle i tendencyi, ale, i to przedewszystkiem, w misternem wykonaniu. Jestto delikatna, prawdziwie koronkowa robota. Tylko owego „pesymizmu" z przedmowy Orzeszkowej jest w „Ogniwach" bardzo mało.

(Dokończenie nastąpi).

---

nie Alzatczyków, obchodzą się z nimi z wyjątkową względnością, a istniejące w Paryżu biuro *ad hoc* utworzone, dostarcza legioniście z Alzacyi wszelkich pożądanych papierów i świadectw.

Ponieważ Francya, rekrutując legionistów pomiędzy cudzoziemcami, wcale w to nie wchodzi, z kim ma do czynienia, byle by tylko człowiek był zdatnym do służby, — więc napotyka się bardzo często w legii ludzi, których listy gończe daremnie od lat wielu ścigają. Niejeden ruski nihilista, niejeden niemiecki zbrodzień tkwi w szeregach legii. Poznałem osobiście indywiduum, które czynny wziął udział przy zamachu na gubernatora Chersonu, mieliśmy ekspprawnika warszawskiego, co przy głośnej swego czasu aferze cyrkowej wybitną grał rolę, a ścigany przez policyę tajną przebił w tramwaju aresztującego strażnika i po prawdziwej odysei tułactwa przez Podwołoczyska, Wiedeń i północne Włochy w legii szukał i znalazł schronienie. A ileż tajemnic krył za zmarszczonem swem czołem ów Serb z mej sekcyi, który, czy słusznie, czy niesłusznie, pisał się Karagregorowiczem? Chorwata Różycka, postać na wskroś romantyczna, przytem oficer austryacki z Tryestu, ścigany był o zabójstwo swej kochanki, dziewczyny dalmatyńskiej; z legii traktował on przez pośredniczące bardzo wysoko postawione osoby z samym cesarzem austryackim o ułaskawienie. A ileż dopiero zbrodni mieć mogły na sumieniu owe natury problematyczne, od których nawet i pochodzenia nikt się nie mógł dopytać?

Szczęśliwym trafem miałem przy sobie swiadectwa wystarczająco oświetlające mą przeszłość. — Zamiarem mym pierwotnym było, wytrwać owe lat pięć w legii, wyuczyć się jak najwięcej języków i po uzyskaniu obywatelstwa francuzkiego służyć dalej, czy to w koloniach, czy we Francyi samej w wojsku francuzkiem.

Podzielono nas na sekcye i zaczęto ćwiczyć na modłę francuzką. Służba nadzwyczaj była uciążliwą. Rano około 3 lub 4, kiedy zupełnie jeszcze wszystko w ciemnościach było pogrążone, stawaliśmy na placu zbornym. Jako wysłużonego pruskiego żołnierza przyłączono mnie do oddziału, który odbywał ćwiczenia polne. Zwiedzaliśmy okolicę, maszerując bezustannie i manewrując aż do godz. 10 przed południem. Upał już od 8 stawał się nieznośnym. Czterdzieści stopni Celsiusza, zwykła temperatura podczas lata, do rozpaczy doprowadzić mogły każdego. Trzeba bowiem wiedzieć, że wszystkie nasze ćwiczenia odbywały się w płaszczu i z tornistrem, wypakowanym w sposób wojenny. Płaszcz gruby wełniany grzał nieznośnie a tornister, w którym mieściło się wszystko, co tylko żołnierz posiadał, włącznie drągów i płótna namiotowego, dery wełnianej do spania, konserwów na dni kilka itd., bez porównania cięższym był od tornistrów niemieckiego wojska. Przytem tempo marszu tak szybkie, dzięki muzyce maszerującej z przodu, składającej się z wielkiej części z murzynów, iż kłusujesz raczej niż biegniesz: 120 kroków na minutę to przepisany *pas cadance*. Brak kompletny dróg porządnych, ciągłe ewolucye po polach piaszczystych, pociętość ziemi, wszystko to zmusza do wytężenia sił ostatnich, by nie upaść. A przypadki porażenia od żaru słonecznego i omdlenia z powodu gorączki są niekiedy tak częste, iż dzienna ich liczba decymuje kompanie. Wróciwszy około 10 do depotu, masz, jeżeli nie odkomenderują cię na „corvey" (do roboty), obligatoryczną siestę aż do godziny czwartej po południu. Upał w tym czasie piekielny, a jednak właśnie to pora, kiedy mustrują się opieszali w służbie lub karani za jakiebądź dyscyplinarne wykroczenie legioniści. Podoficer stawa pod cienistym namiotem i ztąd niemiłosiernie znęca się nad szeregowcem, który mu wpadł pod rękę. Reszta żołnierzy natenczas rozebrać i kłaść się musi na posłanie. Po południu, od 4 do późnego wieczora. znów ćwiczenia lub jakiebądź zajęcie przy naprawianiu dróg, reparacyi fiskalnych budynków itd.

Pożywienie żołnierza w legii nazwać by można wystarczającem, gdyby żołnierz odbierał to, co mu rzeczpospolita francuzka przeznaczyła. Tymczasem z tego traktamentu skubią wszyscy, począwszy od czy-

Listy z Warszawy.

III.

(Nowe powieści i komedye).

Ruch wydawniczy zawsze ożywia się u nas niezmiernie przy końcu każdego roku. Pochodzi to z jednej strony ztąd, że koło 1 października kończą się feljetony w pismach codziennych i tygodniowych, z drugiej zaś z powodu zbliżającej się „gwiazdki“. Plon końca ubiegłego roku był nader obfitym pod względem ilości, mniej zaś pod względem jakości nowych utworów. Nie ma w tem nic dziwnego. Przy dzisiejszej stopie wykształcenia każdy t. zw. „inteligentny człowiek“ może napisać lichą powieść. Ze zaś popyt na nie jest olbrzymi — powieściopisarstwo staje się najpopłatniejszem z zajęć literackich. Wielu nowych powieściopisarzy tworzy wyłącznie dla chleba, nie mając ogółowi nic nowego do powiedzenia. Jak na tym braku „świętego ognia i zapału“ traci artystyczna wartość nowoczesnych naszych powieści; łatwo zrozumieć. Tymczasem poziom smaku estetycznego wznosi się w miarę rozwoju społeczeństwa. Skutkiem tych dwóch sprzecznych czynników jest niebywała ilość powieści, ale i niebywałe z nich niezadowolenie, które spotykałem nawet u bardzo przeciętnych czytelników. Pomimo to czytają je chciwie....

W przeglądzie tym z wieku i z urzędu pierwsze miejsce należy się Orzeszkowej. Dała nam ona nową powieść p. t. „Australczyk“ i zbiór nowel, drukowanych poprzednio w rozmaitych czasopismach, a związanych wspólnością tematu p. t. „Melancholicy“. Ciekawą jest bardzo przedmowa do nich, poświęcona p. Janowi Karłowiczowi, a streszczająca poglądy filozoficzne autorki.

Nie będziemy się spierać ze znakomitą autorką o wartość jej terapji w chorobie melancholii, wolimy oddać hołd jej talentowi jej zawsze zacnym zamiarom i niespożytej miłości dla ideałów dobra i sprawiedliwości. Te same zalety widnieją i w „Australczyku“, szkoda tylko, że autorka przesadziła tam w tendencyjnem opracowaniu szczegółów, co stanowczo psuje wrażenie estetyczne powieści. Autorka stawia sobie pytanie: czy młody człowiek powinien szukać świetnego bytu w głębi Rosyi, czy też zadowolnić się skromnemi warunkami pracy na niwie ojczystej? — i rozstrzyga je naturalnie na korzyść drugiej ewentualności, w czem gorąco jej przyklaskujemy. Temat to nader na czasie wobec zastraszającej emigracyi naszej inteligencyi do Rosyi. Zbyteczną natomiast była apoteoza życia, nieomal do stanu natury sprowadzonego, co stoi zresztą w sprzeczności z prawdą realną. W każdym razie obie te książki mogę czytelnikom gorąco zalecić.

Rozpisałem się o Orzeszkowej, bo o innych autorach niewiele będzie do powiedzenia. T. T. Jeż dał nową powieść pt. „Sama“ pisaną jędrnym językiem i dość zajmującą, mimo pewnych rozwlekłości i częstych powtarzań. „Nafta“ (3 t.) i „Zyzma“ Sewera odznaczają się barwnym stylem i mimo jaskrawych efektów czytają się z zajęciem. Marya Rodziewicz ogłosiła nową powieść ze stosunków artystycznych, której spodobało jej się dać tytuł: „Jerychonka“. Nie brak tam ani stereotypowego malarza-cynika i pijaka, będącego komicznym dodatkiem we wszystkich naszych powieściach na tle artystycznem osnutych, ani dziewicy hartownej jak stal, kochającej się w człowieku bez woli, ani zimnej i strasznej kokietki, która mu życie łamie, ani męża brutala, ani szlachetnej istotki — to wszystko zaplątane w awanturnicze przygody bez sensu. — Pani Wanda Grot Bęczkowska znowuż aż przez 700 stronnic piłuje czytelnika historyą, w której kolejno są bohaterkami babka, matka i córka, a bohaterami mężczyźni, pozbawieni energii, zkąd i tytuł „Bez woli“. Bez woli istotnie musiał być ten wydawca, który nie mógł się oprzeć autorce i wydrukował takie bzdurstwa. Doprawdy czas, by tym paniom grafomankom powiedzieć: cóż wam winna ta biedna literatura polska, że się tak nad nią pastwicie?

Pomówmy teraz o początkujących autorach. Nie mogąc pisać osobnego studyum, wspomnę tylko o „Opowiadaniach“ Zeromskiego. Wygląda z poza nich człowiek, który nietylko głęboko umie zastanawiać się nad prądami, motującemi nasze społeczeństwo, odczuwać je głęboko, ale i umie je opisywać. Jest to indywidualność bogata, jeden z tych „młodych“, którzy kiedyś jak słońca wielkość oświecać będą naszą literaturę. Zeromski ma tę zaletę, że umie być samym sobą i niczyjem naśladownictwem już w pierwszych swoich krokach nie grzeszy. Czytajcie „Opowiadania“, a z pewnością głęboko wywrą na was wrażenie. Może będzie ono przykrem nieraz, ale będzie silnem, co już autora z szarego tłumu wyróżnia. Pewną oryginalność w traktowaniu starego tematu wiarołomstwa małżeńskiego wyróżnia „Jedynaczkę“ Semionowicza. Zeszedł on z banalnej posadzki salonów i przedstawił nam wiarołomstwo w takiej formie, w jakiej się ono w średniej sferze najczęściej spotyka, mianowicie z udziałem jakiejś mamki, pokojówki, lub dziewki folwarcznej. „Fałszywe dźwięki“ Znicza i „Po grudzie“ Wittego dałbym sobie ukraść i złodzieja wcale bym nie szukał.

Do zupełnie innej kategoryi należy powieść „Wierzę w Boga“ Antoniego Werytusa (Skrzyneckiego). Jest to nikczemny pamflet na całe stronnictwo postępowe w ogólności, a na A. Swiętochowskiego w szczególności; z życia jego są czerpane fakta prawdziwe, ale w powieści niemożliwie przekręcone; opowiadanie zresztą nie zdradza śladów najmniejszego talentu. Dzieło jest takiem, jak jego autor. P. Skrzynecki był kiedyś reporterem w „Kuryerze Warszawskim“, zkąd za pewne sprawki dwuznaczne został pocichu usuniętym. Jakim sposobem wypłynął znowu po kilku latach na powierzchnię — nie wiadomo; dość, że obecnie zapomniano o wszystkiem i jest on na drodze do zostania *„naszym znanym i szanowanym“* literatem. Taki jest u nas niestety brak opinii publicznej. Ze sama powieść jest obrzydliwą, świadczy o tem fakt, że żaden z naszych przysięgłych zachowawczych krytyków nie ośmielił się jej pochwalić bez zastrzeżeń.

P. Teodor Jeske-Choiński dał nam dwutomową powieść historyczną z czasów Marka Aureliusza p. t. „Gasnące słońce“. Autor, jak wiadomo, ma ćwieka w głowie na punkcie pozytywizmu warszawskiego, bo też i w tej książce nie ma Rzymian, są natomiast zachowawcy — szlachcic i filozofowie, pozytywiści warszawscy w togach. Do ostatniej kategoryi zalicza p. J. Ch. wszystkich,

---

niącego zakupna oficera aż do kucharza. Dwa razy na dzień bulion z mięsem, 1 funt chleba, rano kawa, po ćwiczeniu ćwierć litra wina czerwonego i 2 sous (8 fen.) żołdu, to przedstawia etat dzienny szeregowca. Ponieważ jednak kuchnie polne zbyt są małe, by na czas wszystkich zaspokoić, pierwsi przybywający po swe pożywienie, dostają jeszcze jakie takie, tymczasem oddziały później nadchodzące, które nie umiały pięścią utorować sobie drogi do kuchni, zamiast bulionu ciepłą tylko wodę odbierają.

Wymiar k a r jest w legii pod wielu względami bardzo surowy. Najdrobniejsza kara „consigne“ na tem polega, że żołnierzowi nie wolno w czasie pozasłużbowym opuszczać swej kwatery lub namiotu, natomiast często do apelu stawać musi i pełnić wszelką pracę, potrzebną do utrzymania porządku, tak w koszarach jak po biwakach. Wieczorem wszyscy mający „consigne“ zbierają się pod jednym wielkim namiotem, gdzie im na gołej ziemi bez kołdry spać wypada.

Powyższa kara nieco przyostrzona to „prison“, czyli areszt więzienny. Winowajca bywa zamknięty w ciemnej celi, gdzie może już tylu a tylu dawniejszych aresztantów za najrozmaitsze przekroczenia odsiaduje swą wojskową karę, w powietrzu jak najniezdrowszem, a gorączce często prawdziwie piekielnej. Cały sprzęt w celi takiej jest „prycza“, kilka desek z sobą zbitych, nieco pochyło na łokieć może od ziemi ustawionych, które służą za stół, ławkę i łoże zamkniętym. Ponieważ cele zazwyczaj są przepełnione, ztąd niewygoda dla internowanych okropna. Aresztem bywa karany żołnierz za ladabądź przekroczenie służbowe. Pomiędzy innemi zastęp liczny do „prisonu“ stanowią s y m u l a n c i. Kogokolwiek lekarz nie uzna za chorego — a zgłasza się do infirmeryi dziennie bardzo wielu legionistów, — temu zapisuje w książkę raportową dwa słówka: *„non malade“*, poczem żołnierz niechybnie wędruje do aresztu, chociażby się czuł w rzeczywistości jak najsłabszym i wewnętrznie niedysponowanym. Że w ten sposób żołnierz oddany jest zupełnie na łaskę i niełaskę sumienności wojskowego lekarza, wynika samo z siebie, ponieważ zaś obejście się oficera z szeregowcem w ogólności, a lekarza z chorym nieawansowanym w szczególności, jest surowe i prawie bezlitośne, tembardziej, że wielka liczba tamtejszych medyków dyscyplinarnie jest przesadzonych z kraju matczynego do kolonii, więc często oburzające dzieją się w tej mierze nadużycia. Umiem to tembardziej ocenić, gdyż sam zapadłem na decymującą legię chorobę, którą tam nazywają febrą klimatyczną (*fièvre climatique*). Jest to rodzaj dessynteryi czyli krwawej biegunki, którą niemal każdy żołnierz przechodzi, a która najmniej dla połowy pacyentów kończy się śmiertelnie. Dopiero wtenczas, gdy o własnych siłach chodzić nie mogłem, zaniesiono mnie do lazaretu, przedtem wmawiano we mnie koniecznie, żem symulant. To też zdarza się nader często, że taki „pseudosymulant“ oddany za rzekome udawanie do aresztu, wynoszony bywa wprost z prisonu do trupiarni i na cmentarz. — Kara aresztu obostrzona bywa często tem, że więzień dzień w dzień, w najgorętszy upał, kiedy inni zażywają wczasu i siesty, brać musi udział w mustrze karnej w umundurowaniu wojennem t. j. z tornistrem wypakowanym wszelkiemi przyborami polnemi. Po ukończonej mustrze zamienia znów plac ćwiczeń na więzienie.

Rozgłosu europejskiego dla swego okrucieństwa nabrała dziś już nie istniejąca najsurowsza kara *„crapodine“*. Zniesiono ją za ministeryum Boulangera, — za moich czasów, choć rzadko, była jeszcze w używaniu, równie jak druga, nie mniej piekielna: *„Sillos“*.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

co nie są ślepo wierzącymi, a więc stoików, sceptyków, epikurejczyków itd. Świadczy to o *głębokiem*, filozoficznem wykształceniu autora. Rzymianie, składający ofiary Jowiszowi, są naturalnie zacni i szlachetni, filozofowie — to zgraja błaznów, a Marek Aureliusz — „filozofująca baba". Pod tym względem pan Ch. jest nader *oryginalnym*, bowiem zdanie jego stoi w sprzeczności z opinią niemal wszystkich historyografów rzymskich. Ciekawą rolę grają w tej powieści chrześcianie. P. Ch. musi oczywiście sprzyjać im, ale szczególną jego sympatyą cieszą się czciciele Jowisza; — tak dalece autor nie znosi wszelkiej opozycyi przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. Po samej powieści następuje osobiste oświadczenie autora, będące wyraźnym przytykiem do Sienkiewicza „Quo Vadis". Można tu śmiało zastosować ukraińskie przysłowie: *„kudy kuchtie do patyny"*.

Teatr stoi w blizkiem pokrewieństwie z powieścią, ztąd też o nim teraz mówić zamierzam. Jak wiadomo, istnieją u nas trzy teatry: „Wielki", „Rozmaitości" i „Mały". Pierwszy poświęcony jest wyłącznie muzyce (opera i balet) oraz tragedyom klasycznym i sztuce w wielkim stylu, *Mały* daje publiczności operetki i farsy, *Rozmaitości* zaś uprawia dramat, komedyę i krotochwilę. — O pierwszym mówić będę kiedyś przy sposobności, gdy potrącę o muzykę wogóle; drugi cieszy się stałem powodzeniem, bo stoi na wysokości swego zadania — więcej nic o nim nie powiem, bo nie lubię zastanawiać się nad farsą i operetką — za to resztę listu poświęcę teatrowi Rozmaitości, który w całem tego słowa znaczeniu jest naszym polskim teatrem.

Pomimo ciężkich strat poniesionych w ostatnich czasach, że wspomnę tu tylko o zmarłych: Królikowskiego, Żółkowskiego, Tatarkiewicza, Ostrowskiego. Teatr Rozmaitości posiada dziś komplet artystów, którym niejedna wielka scena zagraniczna mogłaby się poszczycić. Niemal zawsze gra artystów jest znakomita, pogłębiona, wycieniowiana — słowem, bez zarzutu. Pomimo to ciągle tułają się po naszych pismach utyskiwania na upadek sceny; jedni spędzają winę na reżysera, inni na artystów, ale nikt nie wniknął, zdaniem mojem, w samą istotę rzeczy i nie złożył wyłącznej winy na autorów sztuk dramatycznych. Scena polska oczywiście ze sztuk polskich przeważnie składać musi swój repertuar. Komedyę polską ma w dzierżawie niejako kilku autorów dramatycznych. Reżyser nie ma wyboru, każdą ich sztukę przyjąć musi, a nowe siły jakoś się nie zjawiają, przypuszczam dla tego, że autorowie dramatyczni dzierżawią również w pismach i krytykę teatralną i — że użyję trywialnego porównania — do pełnego półmiska nie chcą nowych spożywców dopuszczać. Nasze patentowane wielkości piszą sztuki coraz gorsze, ztąd zniechęcenie wśród publiczności. Faktycznie warto iść do teatru tylko wtedy, gdy na afiszu widnieją nazwiska Fredry, Blizińskiego, lub ostatecznie ze współczesnych Bałuckiego.

Aby nasz sąd surowy poprzeć dowodami, przejrzyjmy ostatni nasz dorobek teatralny. Nie jest on bardzo szczupły, bo cztery sztuki składają się na niego: „Syn", Kaźmierza Zalewskiego, „Gąsienice" Konara, „Wilk i owce" Jordana i „Królewicz" Lubowskiego. Niezłą krotochwilę Jordana wyłączam z rozbioru, ponieważ właściwe jej miejsce byłoby na deskach Teatru Małego. Ale weźmy sztuki Zalewskiego i Lubowskiego: mają one dużo cech wspólnych: jedna i druga jest sztuką z tezą; w obu osią dramatu są nieprawe stosunki miłosne, z tą tylko różnicą, że w pierwszej mamy uwiedzenie, w drugiej zaś wiarołomstwo i pojedynek ztąd płynący. Teza „Syna" jest następująca: Z dwóch ojców, który jest prawdziwy: czy ten, co dał dziecku życie i potem nie dbał już o niego, czy też ten, co otoczył go miłością rodzicielską i dał mu wychowanie? Oczywiście odpowiedź wypada w sensie drugiego przypuszczenia. „Królewicz" jest historyą pieszczocha rodziców, fortuny i kobiet, chorego na modną dziś chorobę woli, skończonego łajdaka i pasożyta. Postawione jest pytanie, czy może on się z gruntu poprawić pod wpływem strasznego wstrząsającego wypadku i pytanie to rozstrzyga autor twierdząco, co nawiasem mówiąc jest wysoce niekonsekwentnem. Widzimy więc, że obie sztuki są nader moralne i tendencyę mają niezłą, na pozór więc wszystko jest w porządku, ale... ileż tych „ale!" A więc przedewszystkiem, jeżeli już koniecznie chcemy, żeby teatr nas nauczał, to nauka musi wypływać z samej treści utworu, nie z tyrad bohaterów, tymczasem robota sceniczna wzmiankowanych sztuk jest szyta białemi nićmi. Ciągłe morały i morały nużą widza. Ten rodzaj pisania wzięli pp. Z. i L. z francuzkiej literatury, w szczególności od Dumas'a (syna i tradycya jego długo ciążyć będzie na ich twórczości. Tylko Francuz, jak zwykle Francuz, miał lekką rękę, a nasi z grubą ciosają swoje utwory. Ale najważniejszym zarzutem, który trzeba zrobić naszym komedyopisarzom, jest konwencyonalizm; dzielą go oni zresztą niemal ze wszystkimi autorami współczesnymi. Wada ta polega na tem, że dramatopisarz nie wychodzi z uświęconych sfer wielkiego świata, a w usta swych bohaterów kładzie wiecznie te same banalne i oklepane komunały. Zamiast dać nam człowieka, jakim jest istotnie, na codzień, dają nam ciągle człowieka, jakim jest w salonie. Na dusze bohaterów przywdziewają — że się tak wyrażę — tużurek, zamiast pokazać je nam w szlafroku i pantoflach. Bywając w teatrze, zdawałoby się, że nie ma innych ludzi, tylko wielkie mieszczaństwo, arystokracya i bogata szlachta. Czyż inni ludzie nie cierpią? Chyba przeciwnie, bo z życiem najboleśniej szamocą się zgoła inne jednostki. Czyż nie byłoby ciekawem pokazać nam w teatrze typ współczesnego inteligenta wydelikaconego moralnie i umysłowo w walce z gnębiącem go brutalnem życiem? Czy nie dobrze byłoby pokazać nam np. na scenie wielki współczesny zatarg między kapitałem a pracą? Ale.... co tu gadać! — jak mówi Rzecki w „Lalce"....

„Gąsienice" trochę, troszeczkę wyróżniają się w tym świecie marjonetek. Jest tam mianowicie pyszny akt I, dla którego można nawet wybaczyć autorowi niedołężne zbudowanie całej komedyi. Daje nam tam autor wierny obraz średnio-mieszczańskiego życia ze wszystkiemi jego cieniami, a więc troską o chleb powszedni, mizernym targiem o każdy grosz, kłopotami co do wydania córek odpowiednio za mąż, oprzykrzliwem obchodzeniem się między sobą członków rodziny, gdy nikt na nich nie patrzy, i wreszcie tę wieczną, potężną obawę tego, co powie w każdym wypadku Pasternakowska, albo inna sąsiadka z przeciwka....

Ze wszystkich działów literatury pięknej dramat i komedya najbardziej potrzebują odmłodzenia. Potrzebują one go szczególniej u nas. Póki autorowie nie postarają się o oryginalność, publiczność zawsze będzie wolała dobrą farsę, niż rzewliwie moralnonudną komedyę lub dramat. Nic na to nie pomoże rozdzieranie szat naszych domorosłych moralistów, a nie my z pewnością ganić ją za to będziemy.

Zbisław.

BADANIA NAUKOWE.

Zwierzęta występne.

Niesprawiedliwem byłoby nadawać miano przestępstw czynom, popełnionym przez istoty, żyjące jedynie w celu osiągnięcia zwycięstwa w walce o byt. Ani człowiek, ani zwierzę, nie popełnia przestępstwa, dopóki nie działa świadomie na szkodę osobników swojego rodzaju. Wilk nie jest przestępcą, gdy zabija barana, tak samo, jak jastrząb nie popełnia zbrodni, gdy porywa i szarpie na sztuki gołębia. Ale i między zwierzętami są osobniki działające świadomie na szkodę osobników swego rodzaju, zasługują więc w zupełności na nazwę zwierząt-zbrodniarzy.

Jeden z amerykańskich naturalistów, zajmujący się oddawna badaniem pszczół, zapewnia, iż istnieją pszczoły, które, zamiast pracować, napadają na ule, mordują placówki, zabijają królowę i pszczoły napadnięte, wreszcie chwytają i porywają zapasy żywności. Po kilku wyprawach tego rodzaju pszczoły-rabusie nabierają smaku do zyskownego rzemiosła zbójeckiego. Jest to plaga wszystkich rojów w okolicy. Zresztą, jak twierdził Ferrero, można każdy rój sprowadzić z drogi cnoty na drogę bandytyzmu. W tym celu dostatecznem jest napoić pszczoły mięszaniną wódki i miodu. Pod wpływem trunku owady stają się niezdolne do pracy produkcyjnej i zabierają się do rozbójnictwa.

Muccioli, sekretarz główny rzymskiego stowarzyszenia gołębi pocztowych, notuje ciekawe szczegóły z życia tych ptaków. Otóż w każdym gołębniku ma się znajdować pewna liczba ptaków, ścielących sobie gniazda jedynie z materyałów, ukradzionych towarzyszom. Próżniaki te, wyzyskujące w ten sposób pracę cudzą, nie mają żadnej wartości jako gołębie pocztowe. Niepodobna obdarzać ich zaufaniem, drogę bowiem odbywają nieregularnie, nie spieszą się do gniazda, a czasem giną na czas dłuższy, niewiadomo gdzie i kiedy. O jednym z takich ptaków opowiada Muccioli, iż ulubioną jego rozrywką było wdzieranie się do gniazd i zabijanie dziobem piskląt. Ptak ten działał bezwątpienia pod wpływem furyi, spotykanej niekiedy u ptaków.

Zdarza się niekiedy, iż słonie, należące do najłagodniejszych i najspokojniejszych zwierząt na kuli ziemskiej, wpadają w szał i pozbawiają życia wszystko, co im staje na drodze. Hindusi nazywają *hora* zwierzęta dotknięte tego rodzaju obłędem. Szał ów jest najczęściej wynikiem samotności. Gdy słoń zgubi swoje stado i odnaleźć go nie może, skazany jest na samotność do końca życia, gdyż żadne stado obce nie przyjmie go do siebie. Może się bezkarnie paść i kąpać obok obcego stada, ale musi przebywać w pewnej odległości. Wyłączone w ten sposób ze społeczeństwa słoni zwierzę dochodzi z czasem do stanu srogości, graniczącej z obłędem, a wówczas mordowanie staje się dlań potrzebą. Gdyby było wolno stosować terminologię lekarską do słoni, można by powiedzieć z niejaką słusznością, iż zwierzę cierpi na histeryę, spowodowaną przez gwałtowną, a zupełną zmianę warunków otaczających.

Szalone te słonie, szerzące naokół panikę i śmierć, są raczej obłąkanemi, niż przestępcami; każde jednak zwierzę, zanim do zapamiętania się dojdzie, morduje przez pewien czas świadomie i na zimno.

Nieprzeparty instynkt macierzyński sprawia, iż samice bezdzietne kradną niekiedy

małe swym towarzyszkom dzietnym. Niektóre suki bezdzietne bez ceremonii porywają innym sukom szczenięta, zwłaszcza ssące jeszcze. Niestety, czeka je zawód, nigdy bowiem, pomimo największej troskliwości, nie udaje im się wychować szczeniąt, oderwanych od piersi macierzystej i skazanych na powolną śmierć głodową. Według zapewnienia Espinasa w kradzieżach tego rodzaju celują mulice. Starają się one odciągnąć źrebięta jak najdalej od matek, zaprowadzają je w zarośla i tam pielęgnują najczulej. Gdyby właściciel stada nie przeszkodził zawczasu tym jałowym przejawom instynktu macierzyńskiego, źrebięta pozdychałyby z głodu.

Kto chce jednak zapoznać się z prawdziwym zbrodniarzem ptasiego rodzaju, niech bada życie bocianów. Karol Vogt obserwował w ciągu lat kilku parę bocianią, osiadłą na gnieździe tuż obok wioski, w której mieszkał znakomity przyrodnik. Pewnego dnia, pod nieobecność męża, zbliżył się do żony młodzian bocianiego rodu, a po pewnym czasie był już uprzywilejowanym przyjacielem domu. Po kilku tygodniach intruz i bocianica napadły na starego bociana, polującego na poblizkiej łące na żaby, i w sposób zdradziecki zadały mu śmierć okrutną.

Ale zbrodnia nie pozostała bez kary. Zaroiło się od bocianów w okolicy. Odbywały się jakieś wiece, jakieś zgromadzenia ożywione. Aż wreszcie pewnego pięknego poranku znalazł Vogt pod gniazdem trupa młodego bociana, na gnieździe zaś wiarołomną bocianicę z... wyłupionemi oczyma. Widocznie sędziowie byli jednocześnie wykonawcami sprawiedliwości bocianiej.

Lombroso, badając teoryę instynktów zbrodniczych, bardzo wiele czasu poświęcił na obserwowanie zwierząt. Niestety, pisarz włoski wpadł w ostateczność. Jak sędzia śledczy we wszystkich ludziach dostrzega zbrodniarzy, a psychjatra waryatów, tak Lombroso w najniewinniejszych czynach zwierząt dopatrywał pierwiastku zbrodniczego. Tak nie jest: zwierzęta występne, jak dowiedli Vogt i Espinas, należą do wyjątków tak dobrze, jak do wyjątków należą ludzie-zbrodniarze.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ankieta w sprawie pracy kobiet.

Grono poważnych ekonomistów wiedeńskich postanowiło urządzić ankietę w sprawie pracy kobiecej na bruku stolicy austryackiej. W dniu 1 marca odbyło się pierwsze posiedzenie członków ankiety, którego przebieg był następujący:

Zebranie zagaił prof. Philippowich. Powitawszy zgromadzonych oświadczył on, że celem ankiety jest wyprowadzenie na jaw stosunków faktycznych takich, jakie są. Kwestya położenia robotników i robotnic należy do najważniejszych kwestyi społecznych. Nie stawiamy sobie żadnych określonych celów, ale chcemy po prostu dostarczyć materyału do tej sprawy i sądzimy, że materyał ten da może bodziec rządowi i ciałom prawodawczym do poprawy bytu tych ludzi. Posiedzenia ankiety potrwają trzy tygodnie. Jako członkowie, prócz wymienionych u nas poprzednio, zgłosili się jeszcze sekretarz nadworny dr. Rauchberg, koncypista nadworny Schmidt i poseł do Rady państwa Jax.

Przesłuchano przedewszystkiem rzeczoznawców. Najpierw przyszła kolej na robotników i robotnice z fachu introligatorskiego, kartonaży i litografów — razem 18 kobiet i 8 mężczyzn. Przedsiębiorca Veith oświadczył, że w fachu introligatorskim średnia płaca robotnicy wynosi 4 złr. tygodniowo. Płace mają tendencyę zniżkową i zniżają też płacę mężczyzn. Inspektorat przemysłowy jest niedostateczny i wykonuje swą funkcyę niedbale Przy jednej m szynie było 13 skaleczeń, a przecież władza nic nie zarządziła.

Z kobiet introligatorek, powołanych jako rzeczoznawczynie, największa część pobiera 4—4,50 złr. Przyjęcie do pracy odbywa się w ten sposób, że jako 12—14-letnie dziewczęta chodzą od warsztatu do warsztatu i proszą o zajęcie, gdyż nie ma żadnego uregulowanego, lub bodaj wystarczającego pośrednictwa do wynajdywania pracy. W jednej pracowni pracuje 10 letnie dziecko przez 10 godzin dziennie.

Płace początkowe wynoszą 1,50—2 złr., po roku do 3 złr. tygodniowo. Najwyższa płaca najlepszych robotnic wynosi 5—6 zł. Mężczyźni otrzymują wyższą płacę nawet tam, gdzie robią zupełnie tę samą robotę co i kobiety. Przedsiębiorcy z tego powodu wolą brać kobiety i dla tego praca kobiet się rozpowszechnia. W lecie przez kilka miesięcy jest martwy sezon, tak, że płace spadają z 4 na 2—2,50 zł. Jeżeli taka robotnica ma jeszcze od rodziców cokolwiek na utrzymanie, to położenie jej jest znośne, ale to się rzadko zdarza.

Rzeczoznawczynie użalały się bardzo na kary i potrącenia z płacy i przytaczały oburzające przykłady z pewnej wielkiej fabryki. Jedna z nich opowiada: Jeżeli kto rozmawia przy robocie, płaci kary 20 ct. Jeżeli zobaczą, że kto podczas pracy włoży do ust kawałek chleba lub spóźni się o minutę, płaci 50 ct. lub więcej. W jednej pracowni płaci się za 5 minut spóźnienia 10 ct.. za 10 minut 20 ct., kto się spóźni o kwadrans, ten już w tym dniu nie śmie pracować. Co się dzieje z temi grzywnami, o tem robotnicy nie wiedzą. Jeden robotnik zażądał książki karnej do przejrzenia i został za to natychmiast wydalony. W tym samym zakładzie muszą robotnice nieraz tak jak w szkole za karę pozostawać po „feierabendzie“ i nadrabiać za darmo pół godziny.

Wielkie poruszenie wywołały zeznania robotnic o warunkach, wśród których one żyją. Z przeciętnej płacy 4 zł. największa część płaci za łóżko 1 zł., wynajmując je u obcych ludzi. Reszta idzie na pożywienie, ubranie i inne potrzeby. Zazwyczaj idąc do roboty, biorą ze sobą flaszkę kawy; tą kawą, nieraz nawet nieogrzewaną, i kawałkiem chleba, żyją cały dzień. Niektóre kupują sobie na obiad za 3 ct. kapusty lub kiełbaskę za 5 ct. Na wieczerzę znowu kawa i kawałek chleba.

Pracownie znajdują się przeważnie w suterenach lub w piwnicach. Jedna robotnica opowiada, że jej pracownia leży w piwnicy, jest bardzo wilgotna i ciemna. W niej pracuje 25 robotnic. Cały dzień pali się tam gaz, a gdy się wyjdzie na ulicę, trzeba sobie na parę chwil zasłonić oczy, nim się oswoją ze światłem dziennem. W trzech pracowniach zamiast umywalni jest tylko jeden szaflik, w którym myją się w południe wszystkie robotnice (20—30); jest tylko jeden ręcznik do ocierania i ten zmienia się tylko raz na tydzień. W jednej pracowni muszą robotnice ocierać sobie ręce trzaskami lub skrawkami papieru. W wielu pracowniach przedsiębiorcy wcale nie dbają o czyszczenie podłogi; dziewczęta same kupują szczotki i szmaty i myją podłogę w czasie pauzy południowej. W innych pracowniach przedsiębiorca czyści podłogę tylko raz w rok, a więc jest ona ciągle pokryta brudem.

Regularny czas roboczy wynosi 10 godzin, ale w sezonie roboczym trwa często dłużej. Nadliczbowe godziny są w jednych pracowniach płatne, w innych bezpłatne; za to w tych ostatnich robotnicy i w martwym sezonie nie bywają ukróceni w płacy. — W jednym zakładzie w czasie sezonu pracuje się od 7 rano do 12 w nocy. W południe jest 1-godzinny przestanek; robotnice spędzają go zazwyczaj w warsztacie, gdyż mieszkają zbyt daleko, by mogły iść do domu. W wielu pracowniach nie wolno im podczas tej pauzy pozostawać w warsztacie i muszą, czy słota czy mróz, chodzić po ulicy, lub w kawiarni płacić 6 ct. za kawę.

W największej części pracowni robi się w niedzielę, mimo że to jest ustawą zakazanem. W pewnym zakładzie muszą robotnice nieraz pół dnia czekać, nim im dadzą jaką robotę — i za to czekanie nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. Terminy wypowiedzenia istnieją wprawdzie, ale przedsiębiorcy wcale ich nie przestrzegają: wydalanie zazwyczaj następuje natychmiast.

Wszystkie rzeczoznawczynie, z wyjątkiem jednej jedynej, użalały się na przełożonych nad niemi werkfirerów, którzy zazwyczaj postępują po grubijańsku. Najbrzydsze przezwiska i obelgi ze strony werkfirerów i pryncypałów — to rzecz codzienna. Jedna fabryka znaną jest z tego, że właściciel jej przyjmuje tylko młode i ładne robotnice, płaci im z początku po 2 złr.; podwyższa im płacę tylko w takim razie, jeżeli mu się oddadzą; która nie chce, doznaje rozmaitych przykrości i bywa wreszcie oddaloną. Nawet w takich pracowniach, gdzie nie ma motorów parowych, zdarzają się skaleczenia przy maszynach introligatorskich, mimo to robotnice nie bywają ubezpieczane od nieszczęśliwych wypadków.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA BERLIŃSKA.

(W obronie kobiet pracujących. — Kompromitacya Stumma. — Ankieta w sprawie rzemiosła).

Berlin, 12 marca.

Strejk pracownic konfekcyjnego przemysłu wniósł ducha niezgodności w szeregi stowarzyszeń kobiecych, a jednocześnie przypomniał białogłowom z pierwszego piętra gmachu społecznego o ich obowiązkach w stosunku do sióstr z suteren i facyatek. Na samym początku bezrobocia pani Lili v. Gizycki, najdzielniejsza i najrozsądniejsza z tutejszych szermierek ruchu kobiecego, wyrzekła się pracy w winnicy emancypacyi, by nieść pomoc siostrom pracownicom, walczącym o kęs chleba. Stowarzyszenia kobiece, które w Niemczech przypominają częściej kluby dla pogawędki i wspólnego cerowania pończoch, niż kadry bojownicze, zrozumiały, że powinne wstąpić na nowe tory, bardziej zgodne z duchem czasu, elektryzowanego prądem walki społecznej. Kobieta wprawdzie nie może zostać lekarzem i adwokatem, nie może objąć docentury i otrzymać teki ministeryalnej, — lecz nie należy zapominać, że nawet na polach, które nie są dla niej zabarykadowane, jest ona wyzyskiwaną jako istota słaba i bezbronna *par excellence.* jako istota, której tylko przez łaskę pozwalają zająć miejsce mężczyzny. Dużo zepsuł krwi szlachetnym damom z „lepszych“ sfer strejk konfekcyonez a rozbudzone sumienie kazało

...rliwiej się zająć losem pracujących ko-...t. Niemieckie towarzystwo dla społecznej hygieny na ostatniem swem posiedzeniu zwróciło uwagę na to, jak mało zdrowotność jest przestrzeganą w tutejszych magazynach, zwłaszcza gdy to dotyczy sklepowych panien. Te ostatnie nietylko nie mają prawa siadać podczas sprzedaży, lecz po większej części jest to wzbronionem podczas całego dnia. Że zwyczaj ten odbija się smutnie na zdrowiu biednych sklepowych, zbytecznem byłoby dodawać. Panie z więcej postępowych stowarzyszeń kobiecych wraz z gronem filantropów wydały odezwę, w której zwracają uwagę pięknej połowy kupującej publiczności na barbarzyńskie traktowanie panien sklepowych. Jest więc obowiązkiem kupujących pań zażądać od magazynów, w których nabywają towary, aby dozwolono pannom sklepowym spoczywać podczas rozmowy z kundmanami. Rozumie się odezwa została wydaną nie pod właściwym adresem, gdyż humanitarny głos ten zostanie wołającym na puszczy, dopóki opornych właścicieli sklepów nie postawi pod pręgierz opinii publicznej. Zagadnięte przez jedno z pism tutejszych firmy oświadczyły, iż mogą tolerować tylko siedzenie w nieobecności gości. Natomiast największa firma Wertheima, powołując się na zwyczaj panujący w amerykańskich interesach, oznajmiła, iż żądanie, wyrażone w odezwie, bynajmniej nie jest utopijnem; obowiązkiem opinii publicznej obstawać wytrwale przy postawionem żądaniu, a wtedy zostanie ono niechybnie wprowadzonem we wszystkich sklepach.

Jakkolwiek Stumm, czyli raczej „król" v. Stumm — oddaj Cezarowi co Cezara — nie zalicza się do obywateli Berlina i cnotliwy żywot swój pędzi w królestwie swojem w Westfalii, jednakże trudno w kronice berlińskiego życia pominąć osobistość hojnie dostarczającą tematu dla rubryki skandalów w tutejszych czasopismach. Od wielkości do nicości podobno jeden tylko krok. Jeszcze przed rokiem baron v. Stumm należał do ludzi posiadających wszystko, czego mogła łaknąć dusza potentata. Jako poseł jednego z najbardziej zaludnionych okręgów, zadawał ton w wolnokonserwatywnej frakcyi i naginał ją do swego *„sic volo, sic jubeo"*. Jako jeden z najbogatszych ludzi w Niemczech i właściciel dóbr, był lubianym przy dworze. Jako *beatus possidens* wielkiego kalibru rządził nieograniczenie w swym majątku i ujął w karby despotycznej władzy administracyę całego okręgu. Lecz oto przed rokiem rozpoczął się szereg niepowodzeń możnowładcy. Za czasów, gdy gwiazda jego świeciła jeszcze nieprzyćmionym blaskiem, baron oskarżył w sejmie rzeszy prof. Wagnera, obecnego rektora wszechnicy berlińskiej, o herezyę. Powstał z tego konflikt, któremu Stumm chciał kres położyć pojedynkiem, co dolało jeszcze oliwy do ognia oburzenia, który rozgorzał w prasie. Baron, nie grzeszący zbytnio tolerancyą, prześladował wszelkiemi środkami „młodych" chrześciańskich społeczników, grupę Bogu ducha winnych młodych pastorów, nieujących jego działalność i wytaczających przed forum publiczne gospodarkę Stummowską. Podrażniony w swem samolubstwie baron, zapozwał przed sąd jednego ze śmiałków, ciętego Kötzschke'go, lecz sam wyszedł na tem najgorzej, bo jakkolwiek sąd skazał pastora na pieniężną grzywnę, prasa, jako *tertius gaudens* wyciągnęła na światło dzienne szczegóły, nie dobrze rekomendujące humanitarność barona. Gdy propaganda młodych pastorów stanęła „królowi" kością w gardle, zagroził w poufnej rozmowie ze swym powiernikiem, iż odbywając polowanie razem z cesarzem, skorzysta z tej okazyi, by zohydzić w oczach monarchy młodych społeczników. Niedyskretny powiernik wypaplał tajemnicę, a prasa roztrąbiła ją *urbi et orbi*. Były faworyt wpadł podobno w niełaskę monarszą i prawdopodobnie nie tak prędko już zostanie zaproszonym do dworu. Niedawno nowa historya Stumm'owska zajmowała prasę. Baron, nie przebierający w środkach, gdy idzie o zgniecenie niemiłych mu organów, dokonał, że na stacyach jego okręgu została wzbronioną sprzedaż pism, umieszczonych na Stummowskim indeksie. Wychodzi w tej miejscowości od 150-ciu lat „Saarbrücker-Zeitung". Gazeta ta odmówiła Stummowi swej przyjaźni. Gdy prześladowania nie poskutkowały, despota chciał zakneblować krnąbrnemu redaktorowi usta prezentem. Fakt ten jednak wkrótce przedostał się do łamów pism berlińskich i barona można, zdaje się, uważać za politycznie zdyskredytowanego człowieka.

Od lat kilkunastu w izbach prawodawczych Niemiec i w prasie debatują wciąż o smutnem położeniu rzemiosła; często rozprawy te robią takie wrażenie, jak sąd ślepego o barwach. Brak wyczerpującej pracy w wyżej wymienionej kwestyi odczuwano dotkliwie.

To też z wielkiem uznaniem przywitano pracę, w której „Towarzystwo dla społecznej polityki" (Verein für Socialpolitik) ogłosiło rezultaty ankiety, sporządzonej w kwestyi położenia niemieckiego rzemiosła. W przeszłym roku ukazały się 3 tomy, a w bieżącym tom 4-ty. Są to badania, zadziwiające ścisłością i starannością. Sama myśl została podjętą przez prof. Brentano z Monachium, kierownictwo zaś i redakcya przypadły w udziale prof. Bücherowi z Lipska. Najbardziej zasługuje na uwagę, że uczony ten zaprosił do współpracownictwa nietylko ludzi kompetentnych i zasłużonych na polu tego rodzaju badań, lecz i uczącą się młodzież seminaryów ekonomicznych różnych uniwersytetów. Szczególnie wyróżnia się pod tym względem seminaryum lipskie prof. Büchera, które samo wypełniło swemi pracami 1-szy tom. Dzieło składa się z całego szeregu, monografii, poświęconych rozmaitym dziedzinom przemysłu różnych miejscowości. Rezultaty, mówiąc prawdę, nie są zbyt pocieszające. Do białych kruków należą te gałęzie rzemiosła, które dotychczas wytrwały niezachwianie na swej placówce, nie odczuwając ucisku ze strony wielkiego przemysłu. Więcej jest takich rzemiosł, które pod wpływem konkurencyi musiały obrać sobie specyalny zakres produkcyi, jak np. reperacye, prace po domach klientów itp. Najwięcej zaś jest takich rzemiosł, które muszą kapitulować przed wielkim przemysłem. Nader przykre wrażenie robią ustępy w rodzaju tych: „za 10 lat nie będzie zupełnie garbarzy w Niemczech", — „lata szewctwa wrocławskiego są policzone", — „zanik ślusarstwa we Wrocławiu jest kwestyą czasu". Takich przypadków możnaby przytoczyć legion. Niemiecka gazeta rzemieślnicza — niewiadomo, czy z naiwności, czy ze świętego oburzenia — uderzyła na alarm z powodu tych smutnych rezultatów i zażądała od majstrów, by zaprzestali udzielać dalszych informacyi w sprawie stanu ich interesów. Prof. Bücher nie zraził się jednak strusim zachowaniem się „Gazety" i zaprosił do współpracownictwa wszystkich, co są w stanie postawić jakiekolwiek przeczące zarzuty przeciwko ogłoszonym badaniom. I dziwna rzecz, nikt się nie zgłosił!...

M.

TO I OWO.

Ważna wiadomość.

W jednym z najświeższych numerów Dziennika Poznańskiego zamieszczono telegraficzną wiadomość ze Lwowa, że hr. M. zaręczył się z hrabianką P. z W. Nazwisk nie wymieniamy, — kto ich ciekawy, niechaj raczy poszukać w Dzienniku Pozn. między ostatniemi depeszami. Błyszczą one wspaniałym blaskiem iskry elektrycznej obok informacyi z abisyńskiego placu wojny, z gabinetów ministeryalnych, parlamentów itd., — błyszczą w tem samem miejscu, gdzie swego czasu czytaliśmy również telegraficzne doniesienia o podróży naczelnego redaktora po Galicyi w otoczeniu szwadronu młodzieży szkólnej, — gdzie jednak częstokroć szukamy naprożno faktów pierwszorzędnej doniosłości. Tak! strojenie wielkopańskich polowań na lwy, tygrysy i słonie w znamiona patryotyzmu i wyższej etyki, bombastyczne rozdymanie drobnej, tuzinkowej zasługi do faktu europejskiego znaczenia, telegraficzne reklamowanie przeciętnego panicza klękającego u stóp przeciętnej hrabianki, – oto najnowszy kierunek polityczny „umiarkowanie" liberalnego Dziennika. Zupełnie naturalnem jest, jeżeli specyalne organy w rodzaju „Adelszeitung" „Heraldische Blätter" itp. informują czytelników swoich o najdrobniejszych zdarzeniach matrymonialnych z arystokratycznego świata, ale poważny, „umiarkowanie liberalny" i „zdrowo-demokratyczny" dziennik polityczny, podający na wybitnem miejscu doniesienia telegraficzne o zaręczynach hrabianki P. z hrabią M. to znowu jeden z typowych dziwolągów poznańskich.

* * *

Kłopoty konserwatystów warszawskich.

Podaliśmy w jednym z ostatnich numerów Przeglądu Pozn. wyjątek z dowcipnego feljetonu A. Swiętochowskiego (Poseł Prawdy) o zabawnym kłopocie warszawskich konserwatystów, którzy nic nie wiedząc o zakazie cenzury watykańskiej czytania pism Dumasa, wyprawili mu uroczysty pogrzeb z rozdzieraniem szat. Ponieważ — według przysłowia — nieszczęście samo nie chodzi, więc ci dwupłciowce załamali się jednocześnie na cienkim lodzie swej zachowawczości po raz drugi. Jak wiadomo, używają oni również do swej ślizgawki łyżew antisemityzmu. Otóż gdy przed paru tygodniami rabin Sorocka na czele deputacyi powitał biskupa Nowodworskiego, ten odpowiedział między innemi: „Wśród szeroko dziś rozlewającego się prądu nienawiści antisemickiej, wystąpieniem swojem stwierdzacie, iż wiecie, jak kościół chrześciański osłaniał zawsze żydów przeciw zrywającym się od czasu do czasu na nich wybuchom nienawiści tłumów, niedość przejętych świętą nauką ewangelicznej miłości bliźniego. I przychodząc tu do mnie, do biskupa, faktem samym stwierdzacie, iż wiecie, że papież, biskupi, duchowieństwo nasze, jako nauczyciele powszechnej, bezwarunkowej i bezwyjątkowej miłości bliźniego, podnoszą zawsze głos w waszej obronie, gdy w świecie przeciw wam podnosi się burza nienawiści tłumów". Co tu począć w obec tak stanowczego potępienia? Czy schylić przed niem głowę, czy ją podjąć dumnie i przyznać się do „nienawiści tłumów"? Czy wdziać kożuch skórą, czy futrem na wierzch? Hic Rhodus, hic salta! Czcigodne mydłki nie chcą ani skakać, ani tonąć, więc z dwóch złych ostateczności wybrały trzecią, wypróbowaną drogę: prześliznęły się zręcznie między swym antysemityzmem a ewangelicznym poglądem biskupa i dziś wzdychają po cichu:

— Chwała Bogu, że to już minęło! Ach jak ciężko być konserwatystą... warszawskim.

Co znaczy innemi słowy:

— Ach, jak to trudno zostać majorem, kiedy się było szewcem!

Sens moralny z tej prawdy jest taki: Przekonania, jak limfa ospy, przyjmują się

tylko wtedy, kiedy są wszczepione w krew. Powierzchowne smarowanie się niemi nie zabezpiecza. Radzimy przeto wielu konserwatystom warszawskim, ażeby sobie sprowadzili rzetelną krowiankę, albo raczej surowicę z instytutu Chamborda lub Windhorsta i zastrzyknęli ją w swe ciałka porządnie. Inaczej ciągle chorować będą na dyfteryt... socyalno-liberalno-zachowawczo-radykalny. Jest to choroba nie tyle niebezpieczna, ile wstręt budząca.

* * *

Nowy dziennik w Krakowie.

W krakowskim świecie dziennikarskim wybuchły obecnie swary bardzo hałaśliwe. Od początków lutego zreformował się „Dziennik Poranny“, pismo, prowadzone bezbarwnie, i zamienił się w „Dziennik Krakowski.“ Do redakcyi, jako główna siła, wszedł p. Feldmann, zdolny literat i publicysta. A że jednocześnie nowe pismo obniżyło cenę, więc wywołało zaniepokojenie wśród konkurentów. „Głos Narodu“ zwietrzył też zaraz... żydowską propagandę i żydowskie pieniądze. Rozpoczęła się polemika.. naturalnie z a s a d n i c z a. P. Rogosz dał pierwszy strzał. I naraz obie strony zaczęły niesmacznie ujadać. Współzawodnictwo z p. Rogoszem jest bardzo trudne. Redaguje pismo ruchliwie, w polemice jest krzykliwy i gra silnie na antysemickiej nucie, znajdującej oddźwięk, bo synowie Izraela, ciążąc ku niemczyźnie, nie zarobili sobie na miłość. „Dziennik Krakowski“, jak na początek, prezentuje się przyzwoicie, nie akcentuje silnie judofilskich tendencyj, umiarkowanie gani antysemityzm, stojąc na gruncie liberalnym. Wieje z niego atmosfera europejska, a na stanowczą pochwałę zasługuje staranne traktowanie spraw literackich i artystycznych.

* * *

Judasz.

Znany literat petersburski, Gamma, we wzmiance pośmiertnej o rzeźbiarzu M Mikieszynie podaje ciekawe szczegóły o zapatrywaniu się artysty na postać Judasza Iskarjoty, którego statuetka była jednem z ostatnich dzieł jego. Nie pamiętam teraz szczegółów — mówi Gamma — ale Mikieszyn usiłował objaśnić zdradę ze strony Judasza przyczynami i pobudkami głębszemi i bardziej prawdopodobnemi, aniżeli owe marne trzydzieści srebrników. Jak zrozumieć rozpacz Judasza, jak zrozumieć, że rzucił srebrniki tym. którzy je dali, a sam powiesił się, wykonał karę sam na sobie ku przestrodze dla wszystkich innych zdrajców, teraźniejszych i przyszłych? Toć nie był oprawcą pospolitym, był on uczniem Chrystusa i w liczbie dwunastu wybranych. Odstępstwo takiego człowieka i następująca po niem skrucha, doprowadzona do wymierzenia sobie samemu kary śmierci, nie da się łatwo wytłómaczyć. Mikieszyn wziął ten postępek Judasza w związku z ogólnemi pojęciami i dążeniami ludu żydowskiego. Żydzi uważali sami siebie za naród wybrany, odrębność narodowa i idea odbudowania królestwa Judzkiego, idea niezawisłości państwowej, uświęcone były przez kult religijny u żydów. Judasz dał się porwać czystości nauki Chrystusowej, lecz koniec końców przekonał się, że nauka ta stoi po nad wszystkiemi ideami narodowemi i państwowemi, że to religia ludzkości całej, że to nauka pokoju i miłości, przebaczenia wrogom i nienawistnikom. Nauka ta wprost sprzeczną była z tendencyami narodowemi i politycznemi ludu żydowskiego. Żydzi nienawidzili Rzymian, marzyli o wyzwoleniu się z pod władzy Romy siłą oręża swego, Chrystus zaś głosił miłość ku wszystkim bez różnicy i nauczał, że, kto mieczem wojuje, od miecza zginie. Popełniając zdradę, Judasz mógł unieść się dążeniami narodowemi i patryotycznemi. Dopiero, gdy dokonał dzieła haniebnego, zrozumiał, kogo zdradził pocałunkami swemi. I oto, tego Judasza właśnie, szarpanego przez zgryzoty sumienia i wątpliwości ideowe, pragnął przedstawić Mikieszyn w chwili, gdy zdrajca ów postanawia pozbawić się życia.

Dodamy, iż w sposób podobnie fantastyczny pojmował postać i postępek Judasza Synpolski (Żukowski) w dziełku, noszącem tytuł „Idea“, które w swoim czasie (około 1875 r.) wywierało pewien wpływ na młodzież naszą.

Na Wyłomie.

(Postny karnawał. — Klaka na zebraniach. — Dożywotnia dyrekcya.)

Rojnym i gwarnym był Poznań w bieżącym tygodniu. Nieznane twarze na ulicach, tłumy gości w hotelach, zadyszani kelnerzy po winiarniach, brzęk kielichów, żywe dyskusye, uściski z „dubeltówki“, wisty, winty, temple i bakaraty. Cały ten ruch i całe to barwne i hałaśliwe życie grupowało się około poważnej pracy publicznej, stanowiącej niejako bilans całorocznych zysków i strat narodowych. Początek marca, to stały termin naszych obrachunków. Stają do apelu Kółka włościańskie, Czytelnie ludowe, Pomoc Naukowa i Centralne Towarzystwo gospodarcze, a społeczeństwo odbywa przegląd generalny, analizuje pracę, pyta o dorobek, bada ruch i organizacyę.

Analizuje? pyta? bada? Gdybyż to można powiedzieć bez wszelkich zastrzeżeń! Jeżeli jednak sumienność nakazuje położyć tu gdzieniegdzie znak zapytania, to winna temu w części tylko typowa apatya społeczeństwa a oskarżenie zwrócić się musi z równym, jeżeli nie silniejszym naciskiem, ku szczytom zarządów i dyrekcyi, gdzie dogmat własnej nieomylności tak silne zapuścił korzenie, że każda interpelacya i każdy wniosek reformacyjny z łona Walnego Zebrania uważany jest za objaw wrogiego usposobienia, symptom nieufności, osobistą inwektywę i karygodną zuchwałość. Na zgromadzeniach znajduje się zwykle garść ludzi, którzy posiadają dziwną specyalność. Jest to rodzaj dobrze wytresowanych klakierów i panegirystów, czekających chciwie na każdą sposobność, by miodowym, jak wosk topniejącym lub uroczysto-patetycznym głosem zawołać: „Panowie! Oto ktoś z zgromadzenia ośmielił się polecić nową książeczkę do Czytelni ludowych. Stawiam więc wniosek o wotum zaufania dla Zarządu“. No! i oczywiście zebranie kiwa głowami. Bo jakże tu odmawiać zaufania ludziom, którzy zwykle pełnią swoje obowiązki sumiennie, tylko wypisali w programie dyrekcyjnym zasadę nieomylności i absolutyzmu: „car tel est mon plaisir“. A przecież wnioski takie zabijają wszelką dyskusyę i degradują członków Towarzystwa do roli biernej masy, której przysługuje jedyne prawo klaskania. Mnie się wydaje, że gdyby dziś podczas jakiegobądź przemówienia wysokiej dyrekcyi lub zarządu ktoś odważył się kichnąć lub nos wytrzeć nieco głośniej, to wnet podniósłby się jeden z wiadomych specyalistów, wołając: „Panowie! Kichnięcie i wycieranie nosa jest demonstracyjnym dowodem nieufności: Stawiam zatem wniosek....“ — wiecie już jaki.

Charakterystyczną w tym względzie była jedna scena na Walnem zebraniu Pomocy Naukowej. Podczas dyskusyi nad bilansem powstają p. p. dr. Jerzykowski i mecenas Kutzner i w sposób na wskroś rzeczowy uzasadniają żądanie, aby kapitały Towarzystwa, z wyjątkiem funduszów dyspozycyjnych, ulokować w bankach, ofiarujących wyższe procenty. Zarząd oczywiście protestuje, a w głębinach sali rozlega się wniosek ks. Mojżykiewicza, aby nad projektami finansowej reformy przejść do porządku dziennego, ...no! i wyrazić zaufanie do wysokiej dyrekcyi. Na szczęście znalazł się ktoś rozumniejszy, i wykazawszy, że po odrzuceniu pierwszej propozycyi, druga jest zupełnie zbyteczną, nie dopuścił do głosowania. Nic przeszkodziło to jednak bynajmniej tak „Kuryerowi“ jak „Dziennikowi Poznańskiemu“ ogłosić Europie i rzeczypospolitej St. Marino, że wniosek ks. Mojżykiewicza przyjęto. Nie rozstrzygam tu kwestyi, czy projekt pp. dr. Jerzykowskiego i mecenasa Kutznera jest w praktyce wykonalnym bez wszelkich zastrzeżeń — zwracam tylko uwagę na ów typowy wniosek ks. Mojżykiewicza z piętnem zdawkowego duseru na czole; najlżejszą rożnicę zdań, najlżejsze drgnienie odmiennych poglądów, rozkrzykuje Janczarska kapela jako symptom niezaufania, a jeżeli zebranie wyjątkowo połknąć się waha cukierek, sfabrykowany przez klakę, wtedy dzienniki „ładu i porządku“ sfałszują fakta i śpiewać będą basem i dyskantem, że słodycz spożyto z wilczym apetytem.

Scena pokrewnej natury rozegrała się również na walnem zgromadzeniu Czytelni ludowych. Tu jeden z gorliwszych miłośników ludu zwrócił uwagę na kilka broszur pożytecznych, których do szaf bibliotecznych dotychczas nie wprowadzono, a skoro p. dr. **Łebiński** w imieniu zarządu odpowiedział, że wydawcy sami książki swoje prezentować winni, bo zarząd nie może szukać i tropić wydawnictw ludowych, — wnioskodawca odparł to wyjaśnienie na wskroś rozsądnym i słusznym motywem, że obowiązek czuwania nad rozwojem czytelni ludowych spoczywa nie na wydawcach książek, lecz na kierownikach bibliotek. Ledwo to słowo zabrzmiało na sali, ukazały się na krześle prezydyalnem straszne symptomy dyabetis, — cukrowej choroby. Lubo bowiem rozumniejsi członkowie zarządu nie solidaryzowali się z niezręcznym wybiegiem kolegi swojego, powstał przewodniczący, książę Czartoryski, i w poetycznych słowach rozwodził się długo nad zasługami p. dr. Łebińskiego, których nikomu zapoznawać nie wolno. Ależ, dobry panie, któż tutaj zaprzecza zasług twemu klientowi?! My wszyscy czoło przed nim uchylamy, ale ośmielamy się twierdzić zuchwale, że skoro najsprawiedliwszy grzeszy siedm razy na dzień, to najzasłużeńszy może raz jeden na rok użyć fałszywego argumentu lub błędne wypowiedzieć zdanie. Skoro zaś „zasłużeni“ mają przywilej nieomylności, skoro magiczne to słowo ma być ryglem dla krytyki, to pocóż właściwie urządzacie walne zebrania. Wy wszyscy przecież, i ty książę panie, posiadacie niezaprzeczone zasługi narodowe, więc nam tylko jedna pozostaje alternatywa: Milczeć, lub bić oklaski bez końca.

Najwonniejszy kwiatek jednak z całego bukietu dziwactw poznańskich pozostawiłem sobie na deser. Działo się na wielkiej sali bazarowej. Dyrekcya „Pomocy Naukowej“ zasiadła na estradzie, a poważny zastęp obywateli świeckich i duchownych słuchał sprawozdań i rachunków rocznych. Posiedzenie zbliżało się już ku końcowi, gdy wtem podnosi się znowu jeden z najinteligentniejszych spadkobierców i krzewicieli idei Marcinkowskiego, mecenas Kutzner z Ostrowa, i wyjawia skromne życzenie, aby zarząd raczył na kilka dni przed wyborami publikować nazwiska ustępujących kolejno członków dyrekcyi. Dziś — mówił mniej więcej wnioskodawca — dowiadujemy się

dopiero w ostatniej chwili, gdy zebranie już zagajone i urna wyborcza spogląda na nas ze stołu, kto na mocy statutów szeregi zarządu opuszcza i na czyje miejsce nowych wybieramy członków. Ztąd każdy wybór ma charakter dorywczej improwizacyi. Wszelkie porozumienie, wszelka refleksya, wszelkie rozpatrywanie kwalifikacyi kandydatów jest z góry wykluczone, a rezultat bywa zawsze taki, że stósownie do życzeń zarządu, ustępujący członkowie wchodzą ponownie do składu dyrekcyi: nazwiska ich widnieją na tablicy, nikt nie ma czasu zastanowić się nad właściwościami kandydatów, więc rzuca do urny to, co najbliższe i najpochwytniejsze. W imię zatem sprawiedliwości i zasad parlamentarnych — tak kończył mecenas Kutzner — proszę szanowny zarząd, by raczył wraz z ogłoszeniami o dniu i godzinie zebrania publikować nazwiska ustępujących członków dyrekcyi.

Cóż? Życzenie na wskroś logiczne i rozsądne! — tak by się zdawało, tak i ja sądziłem, biedny obłąkaniec. W tej samej chwili jednak rozpoczynają się szepty u stołu dyrekcyjnego i nagle powstaje jeden z mężów poważnych i głosem drżącym z irytacyi tak mówi do ludu:

„Znam was panowie. Chcecie wybory zrobić przedmiotem agitacyi, chcecie niezgodę zaszczepić w poważnej instytucyi, lecz na to my nie zgodzimy się nigdy. Od praktyki dotychczasowej odstąpić nie myślimy, bo agitacya mogłaby do grona naszego wprowadzić n i e p o ż ą d a n e ż y w i o ł y."

Proszę mnie nie posądzać, że w przystępie dobrego humoru sfabrykowałem sobie anegdotkę. Opowiadam tu fakt rzeczywisty. Wolno wam się śmiać, ale musicie mi wierzyć, bo cała ta historya miała przynajmniej z pięć tuzinów świadków poważnych. Podniosły się głośne szemrania, a potem gorączkowa dyskusya — nawet klakierzy nie odważyli się wobec tak otwartego zdemaskowania intencyi i poglądów dyrekcyjnych wymówić magiczne słowo: „wotum zaufania." Więc członkowie dyrekcyi uważają siebie za d o ż y w o t n i c h urzędników? Więc zuchwałość, wykarmiona uległością długoletnią, posuwa się tak daleko, że otwarcie przyznaje się do tendencyi sztucznego krępowania swobody wyborczej? Więc każda agitacya zmierzająca do odświeżenia składników dyrekcyi uważana jest za zgubną? A któż to ośmiela się twierdzić, że taka agitacya, jeżeli nie dziś, to jutro, może być czynem obywatelskim? Pocóż ta komedya wyborów, skoro dyrekcya sobie przywłaszcza patent nieomylności i przywilej dożywocia, a kandydatów pozbawionych sankcyi swojej, z góry piętnuje mianem „niepożądanych żywiołów"?!

Takie głosy brzmiały, mimo całego pietyzmu członków, na sali Bazarowej, a panowie z zarządu spostrzegli nagle, że zbyt śmiało zdemaskowali myśli swoje, i nie znajdując rzeczowych argumentów na ujarzmienie opozycyi, oświadczyli ni ztąd ni z owąd w krytycznej chwili, że jeden z głównych oponentów nie ma prawa głosu, bo nie jest członkiem Towarzystwa. Było to posądzenie fałszywe, na błędnych oparte informacyach, ale gdyby nawet niem nie było, jakież to marne i nizkie wojować sztuczką i adwokackim fortelem tam, gdzie rozgrywa się kwestya zasadnicza. Ten finał nosił piętno takiego ambarasu a równocześnie takiej małoduszności, że przypieczętował kompromitacyę, jeżeli nie całej dyrekcyi, to poszczególnych jej członków. Głosowanie wprawdzie się nie odbyło, bo działo się to wszystko w dziwacznej rubryce „wniosków bez uchwał", — ale jedno pozostanie faktem: Nawet najfanatyczniejsi rycerze „ładu i porządku", nawet typowi czciciele wszystkich autorytetów mieli na ustach ironiczne uwagi o — bądźmy uprzejmi — „niezręczności" zarządu.

Sulla

KRONIKA LITERACKA

* **Jerzy Żuławski**. Poezye, garść pierwsza. „N a s t r u n a c h d u s z y", Kraków. Druk W. L. Anczyca i Spł.

„Pierwszą próbą" każdego nieomal adeptu do parnasu jest poezya uczuciowa. Z obawą więc pewną i niedowierzaniem chwyta krytyk nowości liryczne, lękając się owych wiecznych warjacyi na tę samą nutę, powtarzań i imitacyi w mniej lub więcej szczęśliwej formie dokonanych.

Tymczasem z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć możemy, że poezye p. Żuławskiego chwalebny w tej mierze stanowią wyjątek. Prócz części wstępnej p. t. „O p i e r w s z y m b r z a s k u", która zbyt jaskrawo zdradza powijaki autora, tak w inwencyi, jak wykonaniu, inne rozdziały, w których poeta całe pasmo życia swego w piosnki układa, noszą na sobie niezaprzeczenie cechę talentu. Każdy z tych rozdziałów („Na stepie życia", „Z blasków słonecznych", „Wieczorem", „W nocy zwątpień", „Świt nowy") pokazuje już tytułem, co w sobie zawiera. Wszędzie w nich przebija rzadko głębokie uczucie, fantazya zdrowa, łagodna, czasem tylko, jak „W nocy zwątpień", żółcią i żalem ponuro zabarwiona. Przedewszystkiem celują pięknością sonety w rozdziale: „Z blasków słonecznych". Sonet zresztą, to ulubiona forma Żuławskiego i przyznać trzeba, że włada nią dosyć szczęśliwie. W liryce miłości nazwaćby można młodego poetę mistrzem, tak doskonale potrafi on z każdej drobnostki wysnuć najwdzięczniejsze pienia sonetowe. Wszystko pod piórem jego zamienia się w sonet udatny: wspomnienie kochanki, jej spotkanie, pożegnanie, wyjazd wspólny, oddalenie, nawet róże u stóp jej leżące, perły na białej szyi itd. itd. Chociaż tem samem przypomina Żuławski Heinego i widocznie pod jego pozostaje wpływem, jednak nie przyswoił sobie owej zgryźliwości i ironii, cechującej mistrza liryków niemieckich. Jeżeli śpiewa z żółcią i żalem, to jednak bez sarkazmu i cynizmu, a „W nocy zwątpień" odzywa się tylko odgłos ducha skołatanego bólem, cierpieniem, rozczarowaniem i zawodami, jakich doznał młody poeta.

W wierszach opisowych jak „Trzęsienie ziemi", „Błędne koło", „Hohen-Promenade" itd. mieści się pełno ślicznych oryginalnych obrazów, zdradzających obok pewnych niedostatków formy, wybujałość fantazyi i wytrwałość smaku Żuławskiego. Dwa najgłówniejsze utwory, w ostatnim umieszczone rozdziale, są: „Widzenie" i „Mojżesz", dedyktowany T. T. Jeżowi.

Wnosząc z napisu, że to „garść pierwsza" poezyi Żuławskiego, przypuszczamy, iż w krótce ujrzymy „garść drugą".

Tymczasem twierdzić śmiemy, iż poezye „Na strunach duszy" zajmują poczesne miejsce w liryce nowoczesnej i przemawiają silnie do wrażliwej duszy, lubo sam autor mówi żałośnie: „Nie warto marzyć! Dziś liryczną pieśnią nie wzruszysz serca...."

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Poseł Lewakowski został wykluczony z koła polskiego w izbie austryackiej z powodu rzekomego złamania zasady solidarności. — Nowy gabinet włoski zamierza dążyć do „zaszczytnego pokoju" z negusem. Skoro jednak celu tego po świeżej klęsce osięgnąć niepodobna, rozpoczną się niebawem nowe i obszerniejsze operacye wojenne. — W Berlinie odbyło się zebranie reprezentantów handlu i przemysłu, którzy uchwalili założyć na całe Niemcy związek mający na celu obronę interesów handlowo-przemysłowych przeciw zaczepkom agraryuszów niemieckich. — Cesarz niemiecki przyjmował hr. Gołuchowskiego w Berlinie z ostentacyjnemi względami. — Poseł Jażdżewski ponowił w sejmie pruskim żądanie założenia uniwersytetu w Poznaniu i otoczenia staranniejszą opieką naszych instytucyi naukowych i artystycznych.

Teatr i muzyka. W ubiegły czwartek odegrano na scenie poznańskiej, czteroaktową komedyę Dominika p. t. „Stu dyabłów" Sztuka, osnuta na jednej z powieści Kraszewskiego, odznacza się interesującą fabułą i frapującemi efektami. Z artystów biorących udział w przedstawieniu wyróżnili się panowie Skirmunt, Knapczyński i Grabowiecki oraz panna Pankiewicz i pani Jakubowska. Panna Ogińska natomiast była znów wymuszoną i sztuczną, a nadto fatalnie ucharakteryzowaną. — W najbliższy poniedziałek rozpoczyna na scenie poznańskiej szereg gościnnych występów p. R. Żelazowski. Utalentowany artysta, który obecnie zbiera zasłużone wawrzyny w Krakowie, wystąpi między innemi w „Przed ślubem" Zalewskiego „Urielu Akoście" Gutzkowa i „Szczęściu w zakątku" Sudermanna. — W Wrocławiu, w teatrze Lobego, wystawiono z powodzeniem dramat Stahla p. t. „Russalki" (sic) — „In vendemnia" opera Lepraniego doznała nadzwyczajnego powodzenia w Florencyi. — Eleonora Duse przyjęła zaproszenie Sary Bernhardt i zjeżdża do Paryża, ażeby wystąpić w teatrze swej rywalki... Zaiste jest czemu się dziwić: oto znalazły się dwie artystyczne, na wyżynach stojące natury, dość szlachetne i kochające sztukę, aby dla niej zapomnieć o drobnych zawiściach i współzawodnictwach! — Marcela Kochańska zawarła umowę z zarządem opery berlińskiej o występy w kilku nowych rolach na scenie tamtejszej opery. Znakomita artystka odtworzy Ofelię w „Hamlecie", Ambroise Thomas'a i wystąpi w operze „Pielgrzymki do Ploermel" Mayerbeera. — Niektórzy z wybitniejszych artystów poznańskich wyjeżdżają na sezon letni do Warszawy. Dowiadujemy się, że p. Skirmunt otrzymał wezwanie, by objąć urząd reżysera w teatrze Bellevue. Na prowincyę wyjeżdżają prawie wyłącznie drugorzędni artyści. — Nowości repertuaru niemieckiego: Zobeltitz „Ohne Gelenk", Lion „Gebildete Leute", Lee „Der Schlagbaum.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Wśród germanizmów utartych w zaborze pruskim spotykamy często — nawet w prasie naszej — zwroty takie, jak: „Józef jest dziesięć lat stary" (zehn Jahre alt). To błąd krzyczący, którego starannie unikać należy. Mówi się poprawnie: „Józef jest w dziesiątym roku życia", lub: „Józef ma (liczy) lat dziesięć".

— „Żaden" używamy często na wzór niemieckiego „kein"; — mówimy: „Pan N. nie jest żadnym matematykiem", zamiast „Pan N. wcale nie jest matematykiem" itp.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

St. M. Nadesłanych sonetów dla braku formy artystycznej zamieścić nie możemy.

Chochlik. Artykuł Szan. Pani wynosi drobiazgi nikłe i wyjątkowe do pierwszorzędnego znaczenia. Strzeżmy się hyperkrytycyzmu.

Ka. M. Dzieła tego nie znamy. Estreicher o przekładzie polskim nic nie wspomina.

OD ADMINISTRACYI.

Za **10-ty** nr. pisma naszego z dnia 10 marca 1895 roku zapłaci administracya **1 mk.** — Prosimy o łaskawe uwzględnienie tej wiadomości.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28